Sport

środa, 4 września 2024

NR 184 (17994)

Ukazuje się od 1945 roku



Sport

Ruch na plus

Z DRUGIEJ STRONY



Paweł Czado

Odwagi!

Kocham w futbolu ten moment, gdy coś się kończy, a coś się zaczyna. Wielkie imprezy to zakończenie cyklu. Nadszedł czas na nowe rozdanie. Przed nami pierwszy mecz reprezentacji Polski po mistrzostwach Europy. Starcie na Hampden Park zapowiada się ekscytująco.

Z reguły pierwsze miesiące po mundialach czy mistrzostwach Europy to czas zmian, przetasowań personalnych, korekt w stylu gry. Nasza drużyna – chyba nie trzeba o tym przypominać – jest właśnie w takim momencie. Selekcjoner Michał Probierz przed meczem ze Szkocją wysłał wiele nieoczywistych powołań, co osobiście bardzo mnie ucieszyło.

Reprezentacyjną otoczkę psuję jednak zmieniający się świat futbolu...

Już wyjaśniam, o co mi chodzi. Otóż w przeszłości mecze dzieliły się na ważne i mniej ważne, czyli eliminacyjne i turniejowe z jednej strony, a towarzyskie z drugiej. Było to, w moim mniemaniu, dobre. Był czas wysilonych starań, czas dawania z siebie wszystkiego, ale był i czas na eksperymenty, na poszukiwania nowych rozwiązań.

Niestety, powstała Liga Narodów. Te rozgrywki organizowane są przez UEFA od sezonu 2018/19. Piszę „niestety", bo mają na obraz futbolu zły wpływ. Zły, bo selekcjoner tak naprawdę nie ma czasu na wspomniane eksperymenty. Wiadomo, że wynik w meczu o stawkę to podstawa. Siłą rzeczy trenerzy trzymają się sprawdzonych rozwiązań.

W tym roku z siedmiu meczów międzypaństwowych, jakie rozegrała nasza reprezentacja, jedynie dwa nie miały punktowego znaczenia. W poprzednim roku z dziesięciu spotkań też ledwie dwa były meczami towarzyskimi! Tymczasem do połowy listopada rozegramy aż sześć kolejnych meczów o stawkę. Mecz ze Szkocją odbywa się w ramach wspomnianej Ligi Narodów. A stawka – czy chcemy tego, czy nie – zawsze będzie determinować decyzje selekcjonera, będzie miała na nie wpływ. W meczach Ligi Narodów siłą rzeczy trudniej więc o występ debiutanta niż w zwykłym meczu towarzyskim.

Dlatego napiszę wprost: mam nadzieję, że dla Michała Probierza Liga Narodów jest jedynie przystawką. Mam nadzieję, że nawet jeśli spadniemy, nikt nie będzie przesadnie marudził. Celem nadrzędnym – zawsze będę to powtarzał – jest awans na mundial i kontynentalny czempionat. Liga Narodów zawsze powinna być traktowana jako poligon doświadczalny, powinna pełnić rolę służebną.

Przed nami mecz ze Szkocją, która wydaje się w podobnej sytuacji, bo jej mistrzostwa Europy też nie wyszły. To rywal idealny na początek nowego rozdania, starcia z nim wspaniale oddzielają chłopców od mężczyzn.

Selekcjonera i jego zawodników proszę więc o odwagę.

O odwagę bez oglądania się na konsekwencje. Zwycięstwo po walce do utraty tchu może wspaniale zbudować tę drużynę. W zespole rywali nie ma nikogo, kto gra zjawiskowo pięknie i zarazem skutecznie. Niemniej każdy, kto ogra Szkocję, z pewnością ma powód do dumy. Z nią trudno odnieść zwycięstwo bez włożenia w to pełni sił, przemyślności i umiejętności. Każdy, kto wychynie za Wał Hadriana i rozgromi Piktów, zasługuje na szacunek.

Mam nadzieję (choć to właściwie raczej pewność, nadzieją jedynie posypana jak faworki pudrem), że starcie ze Szkocją będzie cholernie zajmujące. Każdy będzie chciał się pokazać.

Panie trenerze, proszę zapomnieć, że starcie na Hampden Park ma tę nieszczęsną stawkę. Proszę robić swoje.

Odwagi!



Fot. Paweł Bejnarowicz / PressFocus

Michał Probierz na treningu reprezentacji Polski przed meczem ze Szkocją.



Fot. Leszek Szymański / PAP

Mateusz Kowalczyk ma już za sobą pierwsze treningi z reprezentacją.

Powołany po pięciu meczach

Latem Mateusz Kowalczyk dołączył do GKS-u Katowice, a już w czwartek może zadebiutować w reprezentacji Polski.

Selekcjoner Michał Probierz do tej pory wykonywał raczej przewidywalne ruchy. Nie zaskakiwał swoimi powołaniami. Być może powodem były mecze o stawkę, najpierw baraże o Euro, a później same mistrzostwa Europy. Nie był to więc czas na ryzykowne ruchy. Ale teraz, gdy reprezentacja będzie grała w mniej prestiżowej Lidze Narodów, opiekun kadry zdecydował się na bardziej niekonwencjonalne posunięcia. Gdy w poprzednim tygodniu PZPN opublikował listę powołanych, dwa nazwiska – Bartosza Mrozka (bramkarz Lecha Poznań) oraz Mateusza Kowalczyka (pomocnik GKS-u Katowice) – wywołały największe zdumienie.

Wszyscy zadowoleni

Szczególnie drugi z nich stanowi niewiadomą. W końcu jest to zawodnik, który niedawno wrócił do Polski po nieudanej przygodzie w duńskim Broendby. W okolice Kopenhagi trafił na początku poprzedniego sezonu z ŁKS-u Łódź. W Danii jednak się nie odnalazł, jego bilans zatrzymał się na ledwie jednym meczu ligowym. Broendby zdecydowało się więc go wypożyczyć, chętnym był GKS. Przy tym transferze każda ze stron była zadowolona. GieKSa zyskała bowiem potrzebnego młodzieżowca, z kolei Kowalczyk, po roku oglądania meczów z boku, mógł na nowo walczyć o miejsce w wyjściowej jedenastce. A kopenhaski klub po roku wypożyczenia może zyskać piłkarza ograneo na najwyższym szczeblu rozgrywkowym w Polsce.

Nie tylko młodzieżowiec

Szybko okazało się, że to strzał w "10". Kowalczyk błyskawicznie wywalczył sobie miejsce w składzie. Nie zagrał tylko w pierwszym meczu sezonu z Radomiakiem, bo raptem kilka dni wcześniej przeniósł się na Górny Śląsk. W kolejnym spotkaniu ze Stalą Mielec pojawił się na murawie w drugiej połowie, a od następnego - z Rakowem - jest już nieodłączną częścią pierwszego składu. I gra świetnie. Nie jest tylko zawodnikiem, który ma na siłę wypełnić limit młodzieżowca. Jest jednym z najlepszych piłkarzy beniaminka na starcie sezonu.

Gorący telefon

Powołanie przez selekcjonera Michała Probierza mimo wszystko wywołało spore zdziwienie. W końcu 20-latek otrzymał je zaledwie po pięciu meczach w lidze. – Nie ma co ukrywać, było to niespodziewane. Dwa tygodnie wcześniej dostałem powołanie do kadry U-20. Byłem przygotowany na wylot do Portugalii (w najbliższy poniedziałek kadra młodzieżowa zagra w Elite League na Estadio Algarve – przyp. red.), a tu nagle okazało się, że jestem powołany do pierwszej reprezentacji. Byłem mocno zaskoczony, ale oswoiłem się już z tym – powiedział w rozmowie ze „Sportem" Mateusz Kowalczyk. Pomocnik zaznaczył, że o powołaniu dowiedział się z mediów. – Od razu po tym miałem gorący telefon. Parę minut potrzebowałem, żeby dojść do siebie, bo żadne informacje do mnie wcześniej nie docierały. Czuję dużą ekscytację i radość. Nie powiem nic odkrywczego, ale spełnia się moje marzenie z dzieciństwa. Pozostaje mi tylko pojechać na zgrupowanie, pokazać się z dobrej strony i cieszyć się tymi dniami z reprezentacją – przekazał 20-latek.

Chce zadebiutować

– Nie jest to powołanie przypadkowe. Nad każdą listą reprezentacyjną pracuje sztab ludzi, którzy obserwują i analizują to, co dzieje się w naszej lidze – zaznaczył trener GieKSy Rafał Górak. – Mateusza znamy krótko, ale wszedł „z buta" w ligę. Razem z Oskarem Repką jest wiodącą postacią w środku pola. Tak naprawdę wszystkie akcje przechodzą przez niego. W szatni cieszymy się przede wszystkim z tego, że ktoś z nas jedzie na zgrupowanie pierwszej reprezentacji, a nie tylko młodzieżówki. GieKSę się obserwuje, patrzy na jej grę z przyjemnością i będziemy dążyć do tego, żeby tak nadal było – stwierdził Adrian Błąd, który z GKS-em związany jest od siedmiu lat. Kowalczyk jest pierwszym od 21 lat zawodnikiem GieKSy, który otrzymał powołanie do reprezentacji Polski . To ogromne wyróżnienie. Jakie są cele zawodnika na najbliższe dni? – Chciałbym zadebiutować w reprezentacji. Chcę jednak też się uczyć i pokazać to, co potrafię. To jest mój główny cel.

Kacper Janoszka

REPREZENTANCI POLSKI Z GKS-U KATOWICE

Roman Szewczyk (28 meczów*), Janusz Nawrocki (20), Jan Furtok (17), Adam Ledwoń (15), Zygmunt Schmidt (13), Andrzej Lesiak (12), Piotr Świerczewski (9), Jerzy Wijas (9), Marek Świerczewski (6), Kazimierz Węgrzyn (6), Krzysztof Maciejewski (5), Sławomir Wojciechowski (4), Andrzej Rudy (3), Dariusz Grzesik (3), Jan Wraży (3), Marek Koniarek (2), Jacek Kowalczyk (2), Marek Biegun (1), Piotr Czaja (1), Jacek Duchowski (1), Janusz Jojko (1), Mirosław Kubisztal (1).

* liczba spotkań rozegranych w reprezentacji w trakcie gdy zawodnik był zatrudniony w GKS-ie Katowice

CZY WIESZ, ŻE...

...ostatnim piłkarzem GieKSy, który zagrał w reprezentacji Polski, był Jacek Kowalczyk. Zdarzyło się to 14 grudnia 2003 roku w maltańskim Rabacie, gdzie biało-czerwoni w towarzyskim meczu pokonali 3:1 Litwę.

Sport 72671dfeae



Fot. Paweł Bejnarowicz / PressFocus

Nie zapomniałem, jak się gra w piłkę – deklaruje Jakub Moder (po prawej w pomarańczowych butach).

Brakuje mu meczów

Jakub Moder stracił ostatnie tygodnie z powodu kontuzji. Selekcjoner jednak wyciągnął do niego pomocną dłoń.

REPREZENTACJA POLSKI

Wokół 25-letniego pomocnika pojawiło się latem kilka znaków zapytania. Po zmianie trenera w Brighton spekulowano o jego odejściu, tym bardziej że klub ściągnął kilku wysokiej jakości graczy na jego pozycję. W tym sezonie „Modziu" nie zagrał ani razu, nie znalazł się nawet w kadrze meczowej. To wina kontuzji.

Trenuje od tygodnia

– Praktycznie przez cały okres przygotowawczy byłem kontuzjowany, więc trudno było, aby nowy trener mnie zobaczył. Oglądał mnie tylko w meczach na Euro, a w treningu widzi mnie od około tygodnia. Chciał jednak, żebym został w klubie i był częścią drużyny – wyjaśnił Jakub Moder. – Czuję się okej. Straciłem okres przygotowawczy i brakuje mi meczów. Nie ma co tego ukrywać. Nie grałem w sparingach, w Premier League minęły już trzy kolejki. Początek sezonu mnie ominął, więc to normalne, że brakuje mi rytmu i pewnie nie jestem gotowy na całe spotkanie. Jednak na tyle, na ile selekcjoner będzie mnie potrzebował w tych dwóch meczach, dam z siebie wszystko. Mimo że miałem kontuzję, nie zapomniałem, jak się gra w piłkę – opisał swoją sytuację 26-krotny reprezentant Polski.

Dyrygent środka pola

Spotkań w kadrze Moder miałby pewnie więcej, ale cieniem na jego karierze kładzie się kontuzja z lat 2022–2023, kiedy stracił prawie 600 dni i blisko 100 meczów w Brighton. Od ubiegłorocznego października piłkarz walczy o powrót do pełnej sprawności, ale po drodze zdarzały mu się kolejne problemy, jak choćby wspomniany powyżej uraz. Były zawodnik m.in. Lecha Poznań to wciąż duża nadzieja reprezentacji, tym bardziej że w drugiej linii może pełnić różne funkcje.

2
GOLE
strzelił w reprezentacji Jakub Moder. U siebie trafił z Ukrainą, na wyjeździe z Anglią na Wembley. Czy znowu zdobędzie bramkę na Wyspach?

– Z Francją na Euro grałem jako typowa „szóstka", często zostawałem z tyłu i takie też było założenie, żeby bronić się przed kontratakami rywali. Nie każdy mecz tak będzie jednak wyglądał. Czasem trener będzie potrzebował, żebym w większym stopniu zabezpieczał boisko, ale mamy tyle jakości w środku pola, że możemy się wymieniać pozycjami. To zależy od taktyki i tego, jak przygotowujemy się do meczu. Im jestem niżej, tym mam więcej kontaktów. Lubię taką grę, gdy mam piłkę przy nodze, mogę dyrygować, posyłać podania prostopadłe w przód, zagrywać na skrzydła – wyliczał Moder.

Znajomi z Premier League

25-latek występuje w lidze angielskiej, gdzie gra wielu szkockich zawodników. Kilka dni temu jego Brighton opuścił na rzecz Napoli Billy Gilmour, który zapewne zagra jutro przeciwko Polsce. – Mieliśmy krótką odprawę o Szkotach, a ja znam kilku ich zawodników z ligi. Od początku narzucą wysoką intensywność i podejrzewam, że od razu wyjdą wysokim pressingiem i będą kryli jeden na jeden na całym boisku. Musimy uważać, żeby nie tracić głupich piłek w środku pola, bo mogą to wykorzystać. Dobrze się przygotujemy. Mamy jeszcze trochę czasu na analizę i trening. Będziemy gotowi, żeby wygrać – zadeklarował Moder.

Piotr Tubacki

Tajemnicze absencje

Do ciekawych roszad doszło w kadrze Szkotów przed starciem z biało-czerwonymi.

Szkocki związek piłkarski poinformował we wtorek o zmianach w kadrze pierwszej reprezentacji przed meczami Ligi Narodów z Polską i Portugalią. Zgrupowanie opuścili Che Adams, Robby McCrorie, James Forrest i Greg Taylor. Szczególnie absencja pierwszego z nich będzie odczuwalna. To podstawowy napastnik reprezentacji Szkocji, który wychodził w pierwszym składzie we wszystkich meczach minionego Euro. W kadrze rozegrał do tej pory 33 spotkania, w których zdobył 6 bramek. Jest też ważnym zawodnikiem w klubie – latem po raz pierwszy w karierze opuścił Wielką Brytanię i przeniósł się do występującego w Serie A Torino. We Włoszech zagrał na razie we wszystkich spotkaniach.

Szkockie media podkreślają, że w żaden sposób nie zostały wytłumaczone absencje zawodników. Nie wiadomo więc, czy są kontuzjowani, czy też trener Steve Clarke zrezygnował z ich usług z innych powodów. Najprostszym wytłumaczeniem są oczywiście urazy i tych przypuszczeń trzymają się szkoccy dziennikarze, którzy nie mają wątpliwości, że gdyby ci piłkarze mogli grać w meczach Ligi Narodów, z pewnością nie zakończyliby szybciej przygotowań do nadchodzących bojów.

Zawiedzeni są przede wszystkim fani Celticu, ponieważ Forrest i Taylor mieli być przedstawicielami ich klubu w kadrze. Tymczasem po opuszczeniu przez nich zgrupowania jedynym reprezentantem „The Bhoys" pozostał Anthony Ralston.

W miejsce czwórki Clarke powołał trzech zawodników. Są nimi Connor Barron (Rangers), Josh Doig (Sassuolo) i Jon McCracken (Dundee FC). Dla ostatnich dwóch najbliższe mecze będą okazją do debiutu w reprezentacji.

Kacper Janoszka



Fot. Dan O'Connor/ATP Images/SPP/SIPA USA/PressFocus

W ostatniej chwili Che Adams opuścił zgrupowanie kadry Szkocji.

CZTERY PYTANIA DO...

Będzie ostro

KRZYSZTOFA PIĄTKA
napastnika reprezentacji Polski

1. Jaki mecz czeka Polskę ze Szkocją?

– To będzie trudne spotkanie, bo zagramy na terenie rywali. U siebie są szczególnie agresywni. Pamiętam mecz towarzyski za kadencji selekcjonera Czesława Michniewicza przed barażami o mistrzostwa świata. Zremisowaliśmy i to nie było łatwe spotkanie, do tego w jego trakcie doznałem kontuzji. Będzie ostro, ale jesteśmy na to przygotowani.

2. Napastnicy reprezentacji są w bardzo dobrej formie. W Szkocji będzie „ogień"?

– Miejmy taką nadzieję (śmiech). Jestem w formie, Robert Lewandowski również, a są jeszcze Karol Świderski i Adam Buksa. Jest nas czterech i będziemy walczyć o skład. Mam nadzieję, że ze Szkotami i Chorwatami pokażemy się z dobrej strony.

3. Hat trick w lidze dodaje panu pewności przed rywalizacją z kolegami w kadrze?

– Na pewno jest ona większa. Kiedy zdobywa się hat tricki, to jest się w formie. W 9 meczach strzeliłem 8 goli, więc kontynuuję pracę, jaką wykonałem w końcówce poprzedniego sezonu i jestem z tego zadowolony.

4. Jak ocenia pan poziom ligi tureckiej?

– Nie jest to liga tak mocna, jak Serie A czy Bundesliga, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. To liga bardzo fizyczna, trudno się gra z tamtejszymi obrońcami, bo są twardzi i blisko kryją. Niełatwo ją sklasyfikować, bo nie występowałem w Hiszpanii czy Anglii. Nie jest tak mocna jak ligi TOP 4, ale nie jest też tak słaba, jak niektórzy mówią. Widać to choćby po transferach, bo ostatnio na przykładprzyszedł Victor Osimhen z Napoli. Skoro Turcy ściągają takie nazwiska, to liga z roku na rok jest coraz mocniejsza.



Fot. Leszek Szymański/PAP

Krzysztof Piątek przyjechał na kadrę po zdobyciu hat tricka w lidze tureckiej.

Sport 72671dfeae

Zagrajcie jak w… 1960 i 1965 roku!

Jak wygrane w Glasgow to… Ernest Pohl i Stanisław Oślizło. Dwie legendy Górnika mają świetne wspomnienia z Hampden Park.

Futbolowa rywalizacja Szkocji i Polski ma swoją tradycję. Meczów tych reprezentacji nie było wiele, bo 11, ale sporo się w nich działo. Bilans gier, o czym przypominaliśmy w poniedziałkowym „Sporcie", rozmawiając z drugim trenerem reprezentacji Szkocji Johnam Carverem, jest wyjątkowo wyrównany. Trzy razy wygrali Polacy, dwa razy Szkoci, a aż sześć razy notowano remis. Na początku my byliśmy lepsi. W XXI wieku na pięć spotkań ze Szkotami nie wygraliśmy żadnego, notując cztery remisy i porażkę. – Nie patrzymy na statystyki. Możesz mieć z kimś zły czy dobry bilans, ale potem przychodzi do gry na murawie i wszystko jest weryfikowane. Każdy mecz to inna historia – podkreśla Carver, który w sztabie reprezentacji Szkocji jest od 4 lat.



Fot. Album „Biało-Czerwoni 1921-2018" (wyd. GiA)

W maju 1960 roku wygraliśmy na Hampden Park 3:2. W białej koszulce na pierwszym planie Krzysztof Baszkiewicz.

Bomba Pohla na Hampden Park

Po raz pierwszy zagraliśmy ze Szkotami w towarzyskim spotkaniu 1 czerwca 1958 roku na Stadionie Dziesięciolecia. Wyspiarze szykowali się wtedy do mistrzostw świata na boiskach w Szwecji. Mecz z biało-czerwonymi był dla nich próbą generalną przed meczem z Jugosławią na szóstym Pucharze Świata, a rozegrali go już dokładnie tydzień później. W Warszawie przed 75-tysięczną widownią wygrali 2:1, a Edwarda Szymkowiaka dwa razy pokonał mierzący ledwie 160 cm pomocnik Bobby Collins, legenda Celticu, a po MŚ w Szwecji Evertonu oraz Leeds.

Dwa lata później, w maju 1960 roku, zrewanżowaliśmy się w Glasgow. Przygotowywaliśmy się akurat do igrzysk w Rzymie, które nam nie wyszły. To było spotkanie, które przeszło do historii ze względu na Ernesta Pohla. To było jedno z najciekawszych wzajemnych spotkań obu reprezentacji, a kibice na Hampden Park już w pierwszych dwóch kwadransach widzieli trzy gole! Z naszej strony trafiali Krzysztof Baszkiewicz i Lucjan Brychczy, a dla gospodarzy gola zdobył legendarny Denis Law, jeden z najlepszych piłkarzy futbolu na Wyspach Brytyjskich. Urodzony w Aberdeen, rocznik 1940, występował w Manchesterze City, Torino i Manchesterze United, gdzie święcił największe triumfy. W 1964 zdobył Złotą Piłkę dla najlepszego piłkarza Europy oraz pomógł klubowi wywalczyć mistrzostwo Anglii w 1965 i 1967, a także Puchar Europy w 1968. Przez kibiców nazywany był „The King" albo „The Lawman". Szkoci w drugiej połowie wyrównali, ale z boiska zeszli pokonani. O wszystkim zdecydowało trafienie Ernesta Pohla z 25 metrów. Jak pisał Sport, to była „bomba, która wstrząsnęła Szkocją".



Piękny i cenny sukces w Glasgow

Polska-Szkocja 3:2 (2:1)

Piorunujący strzał Pohla przypieczętował zwycięstwo

Piękny sukces przyniósł polskiej reprezentacji piłkarskiej międzypaństwowy mecz ze Szkocją rozegrany w dniu wczorajszym w Glasgow. Drużyna polska po bardzo dobrej grze zwyciężyła 3:2 prowadząc do przerwy 2:1.

Polacy grali w składzie: Stefaniszyn — Szczepański, Grzy-

Strzały Pola i Sadka uciszyły Hampden Park

Szkocja 1-2 - Polska

Piękne zwycięstwo!

Po fatalnej porażce naszej reprezentacji w Helsinkach mało kto wierzył, że w Glasgow przeciw faworyzowanej

Pierwsze wyjazdy do Glasgow były dla nas wyjątkowo udane, a o bombie Pohla pamięta się do dziś!

107 tysięcy kibiców na trybunach!

5 lat później trafienie bombardiera Górnika, który - przypomnijmy - od lat jest na czele najlepszych snajperów naszej ligi ze 186 bramkami, też dało nam zwycięstwo. Ze Szkotami rywalizowaliśmy w eliminacjach do MŚ 1966, które i my, i oni przegraliśmy. Ze Szkotami w maju 1965 zremisowaliśmy na Stadionie Śląskim 1:1, bramki zdobyli Roman Lentner i w końcówce Law. Natomiast kilka miesięcy później zanotowaliśmy cenne zwycięstwo na Hampden Park. Do 85 minuty gospodarze prowadzili, żeby potem w ciągu kilkudziesięciu sekund stracić dwa gole! Najpierw do siatki Williama Browna trafił Pohl. Asystę zanotował świetny napastnik Ruchu Chorzów Eugeniusz Faber. Decydujący cios zadał napastnik ŁKS-u Łódź, zresztą debiutant w kadrze, Jerzy Sadek. To była wielka niespodzianka. Biało-czerwoni jechali do Glasgow po sensacyjnej porażce z Finlandią, dla której były to jedyne punkty w eliminacjach. Gospodarze tamtego meczu, przegrywając wtedy, mocno zmniejszyli szanse na wyprzedzenie Włochów. Ci ostatecznie wygrali grupę, o dwa punkty wyprzedzając Szkotów i o trzy przed Polaków. Tamten mecz w październiku 1965 roku na Hampden Park oglądało aż 107 tys. kibiców, co było rekordem frekwencji w europejskiej piłce!

W wygranym 2:1 meczu naszą obroną kierował Stanisław Oślizło, jeden z najlepszych środkowych obrońców w historii naszej piłki, wieloletni kapitan Górnika i reprezentacji, choć w tamtym czasie kapitańską opaskę nosił Henryk Szczepański z Odry Opole. – Mało co pamiętam z tego meczu. Wiem, że Ernest Pohl trafił i przypomniał pan Sadka. Ale grając tam, to zawsze był taki tumult i taki rwetes, że nie słyszało się głosu kolegi stojącego obok. To było charakterystyczne, jeżeli chodzi o mecze na Wyspach Brytyjskich, które wtedy często rozgrywaliśmy – przypomina Oślizło.

Legenda polskiej piłki dodaje: – W tamtym czasie często mierzyliśmy się i z reprezentacją Szkocji, i z klubami stamtąd. Pamiętam rywalizację z Rangersami. Najpierw pokonaliśmy ich na Stadionie Śląskim 3:1, a potem w takim samym stosunku w Glasgow w trudnych warunkach. Pamiętam, że nie wpuścili nas na rozruch na boisko, które przed meczem było pokryte takimi płytami, żeby murawa nie zamarzła (Górnik grał z Glasgow Rangers w 1/8 finału Pucharu Zdobywców Pucharów w listopadzie 1969 roku – przyp. red.). Trenowaliśmy na bocznym, żużlowym boisku. Przed samym meczem płyt i folii już nie było. Murawa była zielona, mięciutka, grało się bardzo dobrze, a co za tym idzie, wynik też był dla nas dobry – przypomina pan Stanisław.

Legenda liczy na Piątka i „Lewego"

Kończącego w listopadzie 87 lat Oślizłę, który w Glasgow wygrywał i jako reprezentant Polski, i jako zawodnik Górnika, pytamy, jak będzie w czwartkowej rywalizacji w Lidze Narodów.

– Nie chcę powiedzieć, że jest jakaś wielka niewiadoma. Owszem, trochę wątpliwości człowiek ma, jadąc na obcy stadion. W moich czasach świetnie się znaliśmy. Wiedziałem, kto wystąpi, na jakiej pozycji. Już przed treningami było to wiadomo. Dziś w kadrze widzę nazwiska, które mi niewiele mówią. Większość gra oczywiście za granicą, nie to, co było w tamtych czasach. Jest „Pio-Pio-Piątek", który w ostatniej kolejce zaliczył hat trick w lidze tureckiej. Fajna rzecz, ale liga turecka, liga polska czy szkocka to nie to, co reprezentacja, bo to ogromna różnica, tym bardziej wtedy, kiedy jedzie się na wyjazd – mówi pan Stanisław, który jest pełen wiary przed tym, co czeka nas w czwartek.

– Michałowi Probierzowi powinno się udać. Jest kilku nowych, kandydujących do gry młodych zawodników, którzy powinni zrobić wszystko, żeby się dobrze zaprezentować. No i mamy naszego kapitana Roberta Lewandowskiego, który dobrze rozpoczął sezon w Barcelonie i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby kontynuował to w kadrze i żeby dobrze było w czwartek – mówi z uśmiechem wielka legenda polskiego futbolu.

Michał Zichlarz

HISTORIA MECZÓW POLSKA - SZKOCJA

1 czerwca 1958 r., Warszawa, towarzyski
Polska – Szkocja 1:2 (0:1)
0:1 – Collins, 21 min, **0:2** – Collins, 53 min, **1:2** – Cieślik, 84 min
4 maja 1960 r., Glasgow, towarzyski
Szkocja – Polska 2:3 (1:2)
0:1 – Baszkiewicz, 12 min, **1:1** – Law, 24 min, **1:2** – Brychczy, 29 min, **2:2** – St. John (47 min), **2:3** – Pohl, 60 min
23 maja 1965 r., Chorzów, eliminacje MŚ
Polska – Szkocja 1:1 (0:0)
1:0 – Lentner, 52 min, **1:1** – Law, 76 min
13 października 1965 r., Glasgow, eliminacje MŚ
Szkocja – Polska 1:2 (1:0)
1:0 – McNeill, 13 min, **1:1** – Pohl, 85 min, **1:2** – Sadek, 86 min
28 maja 1980 r., Poznań, towarzyski
Polska – Szkocja 1:0 (0:0)
1:0 – Boniek, 69 min
19 maja 1990 r., Glasgow, towarzyski
Szkocja – Polska 1:1 (1:0)
1:0 – Mo Johnston, 42 min, **1:1** – Gilespie, 59 min (samobójcza)
25 kwietnia 2001 r., Bydgoszcz, towarzyski
Polska – Szkocja 1:1 (0:0)
1:0 – Kałużny, 50 min, **1:1** – Booth, 69 min (karny)
5 marca 2014 r., Warszawa, towarzyski
Polska – Szkocja 0:1 (0:0)
0:1 – Brown, 77 min
14 października 2014 r., Warszawa, eliminacje ME
Polska – Szkocja 2:2 (1:1)
1:0 – Mączyński, 11 min, **1:1** Maloney, 18 min, **1:2** – Naismith, 57 min, **2:2** – Milik, 76 min
8 października 2015 r., Glasgow, eliminacje ME
Szkocja – Polska 2:2 (1:1)
0:1 – Lewandowski, 3 min, **1:1** – Ritchie, 45 min, **2:1** – Fletcher, 62 min, **2:2** – Lewandowski, 90+4. min
24 marca 2022, Glasgow, towarzyski
Szkocja – Polska 1:1 (0:0)
1:0 – Tierney, 68 min, **1:1** – Piątek, 90+4. min (karny)

Bilans: 3 zwycięstwa Polski, 6 remisów, 2 wygrane Szkocji. Bramki: 15:14

5 RAZY mierzyły się reprezentacje Szkocji i Polski na legendarnym Hampden Park i gospodarze… nie wygrali ani razu! W dwóch meczach zwyciężali biało-czerwoni, a trzy zakończyły się remisami. Bilans bramek 9:7 na naszą korzyść.

4 RAZY przeciwko reprezentacji Szkocji zagrała czwórka naszych zawodników. To Henryk Szczepański, Kamil Glik, Grzegorz Krychowiak oraz Arkadiusz Milik.

Sport 72671dfeae



Fot. Marta Badowska / PressFocus

(Nie)spodziewane odejście

Soichiro Kozuki pożegnał się z Górnikiem.

Soichiro Kozuki nie jest już zawodnikiem zabrzańskiego zespołu. Trafia do trzecioligowego TSV 1860 Monachium.

GÓRNIK ZABRZE

Japończyk wylądował w Zabrzu zimą. Do Górnika został wypożyczony z niemieckiego Schalke 04 do końca 2024 roku z opcją wykupu. Miał być następcą Daisuke Yokoty, który odszedł do KAA Gent za 2 miliony euro.

Pokazał się w derbach

Z jego przyjściem wiązano spore nadzieje. Wychowanek Kyoto Purple Sanga, w którym przed laty grał piłkarz Odry Wodzisław Piotr Sowisz, przyjechał do Europy ponad dwa lata temu. Występował na piątym poziomie rozgrywkowym w Niemczech, w 1. FC Duren. Potem znalazł się w Schalke. Jesienią 2022 w rezerwach klubu z Gelsenkirchen zaliczył 14 spotkań, w których zdobył 8 bramek i miał 3 asysty. Szybko znalazł się w kadrze pierwszego zespołu, a w swoim debiucie w Bundeslidze zdobył gola w starciu z RB Lipsk (styczeń 2023). Wystąpił w 5 meczach w najwyższej klasie rozgrywkowej. Potem przytrafiła mu się kontuzja i stracił kilka miesięcy. W poprzednim sezonie zagrał w pięciu meczach w 2. Bundeslidze, a następnie grywał w rezerwach. W końcu zimą trafił do Zabrza.

Początek miał nawet niezły. Najpierw zaliczył asystę w meczu z Widzewem. Potem przyszły Wielkie Derby Górnego Śląska w Chorzowie. W pierwszej połowie „górnicy" nie radzili sobie najlepiej. Kozuki wszedł na boisko po zmianie stron, zastępując Sebastiana Musiolika i w końcówce ładnym strzałem zdobył bramkę na 2:0. Górnik wygrał 2:1, a 23-letni Japończyk został jednym z bohaterów.

I to byłoby na tyle. W kolejnych miesiącach Japończyk rzadko grał, a jak już pojawiał się na murawie, nie wnosił wiele. W bieżącym sezonie zanotował jeszcze tylko asystę w meczu z Puszczą. Łącznie w ekstraklasie uzbierał 18 meczów, ale tylko pięć w podstawowym składzie. Nie okazał się zawodnikiem na miarę Kanjiego Okunukiego czy Yokoty, którzy przecież dobrze prezentowali się w zespole z Zabrza w latach 2022-23.

Zwolnił miejsce

Odejście Kozukiego w końcówce letniego okna transferowego nie jest więc dla zabrzan wielką stratą. - Pojawiła się możliwość rozwiązania kontaktu Soichiro i uznaliśmy, że to najlepsze rozwiązanie zarówno dla klubu, jak i dla zawodnika. Od stycznia nie przebił się do podstawowego składu, przez co zależało nam na zwolnieniu środków, a sam piłkarz chciałby móc grać częściej. Nie byliśmy przekonani do skorzystania z opcji wykupu, więc uznaliśmy, że nie będziemy go zatrzymywać w drużynie na siłę – poinformował za pośrednictwem oficjalnej strony Górnika Łukasz Milik, dyrektor klubu.

Kozuki odchodzi do grającego w trzeciej Bundeslidze TSV 1860 Monachium. Klubu, który w stolicy Bawarii ma więcej fanów niż Bayern. Piłkarz ma szczęście do gry w wielkich klubach, bo do takich należą Schalke, Górnik, a także monachijskie „Lwy", założyciele Bundesligi i mistrzowie Niemiec z 1966 roku.

Michał Zichlarz

JAPOŃCZYCY W GÓRNIKU

■ **Kimitoshi Nogawa** – pojawił się w Zabrzu niespodziewanie zimą 2005 roku sprowadzony przez ówczesnego właściciela Marka Koźmińskiego. Miał przyciągnąć kibiców i... japońskich inwestorów. Nic z tego nie wyszło, bo szybko pożegnał się z klubem.
Bilans: 3 mecze

■ **Kanji Okunuki** – Górnik zakontraktował go w końcówce letniego okna w 2022. Jak przyznawał wtedy szef skautingu Roman Kaczorek, nie widziano go wcześniej na żywo, ale zaufano systemom elektronicznym. Jego sprowadzenie było strzałem w dziesiątkę. Szybko stał się ważnym graczem zespołu, a po sezonie trafił do 2. Bundesligi. Na początku tego roku zadebiutował w reprezentacji swojego kraju.
Bilans: 28 meczów, 4 bramki

■ **Daisuke Yokota** – trafił do górniczego klubu zimą 2023 z łotewskiej Valmiery w dużej mierze dzięki Lukasowi Podolskiemu. Gdyby nie „Poldi" do transferu by nie doszło. W Zabrzu wypromował się na tyle, że po roku sprzedano go za 2 mln euro do belgijskiego Genku, co uratowało pusty budżet Górnika.
Bilans: 32 mecze, 9 bramek, 3 asysty

■ **Soichiro Kozuki** – nie przebił się do pierwszego składu i wrócił do Niemiec. Kibice Górnika zapamiętają jego bramkę w derbach z Ruchem na Stadionie Śląskim.
Bilans: 18 meczów, 1 bramka, 2 asysty.

Czarna seria

W bieżących rozgrywkach wicemistrz Polski jeszcze nie poznał smaku zwycięstwa.

ŚLĄSK WROCŁAW

Kibicom zielono-biało-czerwonych, o piłkarzach i trenerach nie wspominając, nie jest do śmiechu. Dorobek punktowy zgromadzony w sześciu ligowych bojach, czyli cztery „oczka" (4 remisy i dwie porażki), jest mizerny. W końcu mowa o wicemistrzu Polski. Gorszą serię drużyna z Oporowskiej miała w sezonie 2022/23, gdy od 5 marca do 5 maja 2023 roku w dziewięciu potyczkach ligowych zaksięgowała tylko 4 punkty, bramki 5:14. Bilans porażający! Na ten nader skromny dorobek złożyły się wyniki: Cracovia - Śląsk 1:1, Raków Częstochowa - Śląsk 4:1, Śląsk - Stal Mielec 1:1, Lechia Gdańsk - Śląsk 0:0, Śląsk - Piast Gliwice 0:1, Warta Poznań - Śląsk 3:1, Górnik Zabrze - Śląsk 2:0, Śląsk - Radomiak 0:1, Jagiellonia Białystok - Śląsk 1:1.

Lekcja od Sevilli

Porażka w Szczecinie, a przede wszystkim strata aż pięciu goli, zabolała wszystkich bez wyjątku ludzi związanych ze Śląskiem. Po raz ostatni takie straty bramkowe wrocławianie ponieśli 29 sierpnia 2013 roku, gdy w ramach Ligi Europy przegrali na własnym stadionie z hiszpańską Sevillą 0:5. Ale wówczas przeciwnik był z innej półki. Wystarczy wspomnieć, że gole Rafałowi Gikiewiczowi, który strzegł dostępu do bramki „trójkolorowych", strzelali Carlos Bacca (reprezentant Kolumbii, uczestnik mundiali w 2014 i 2018 roku), Ivan Rakitić (późniejszy piłkarz Barcelony), Jairo Samperio oraz reprezentant Argentyny Diego Perotti. Przegrać z taką klasową drużyną nawet pięcioma bramkami to żaden wstyd. Na pewno znacznie mniejszy niż utrata pięciu goli w starciu z Pogonią Szczecin.

Maraton, nie sprint

W ostatnim meczu z „Dumą Pomorza" w składzie wrocławian pojawił się znowu Igor Macenko, który we wcześniejszym spotkaniu z Legią Warszawa (1:1) pauzował z powodu czerwonej kartki. – Szkoda, że więcej bramek nie wpadło w tę stronę, w którą trzeba – powiedział z żalem w głosie 22-letni Ukrainiec. – Ruszyliśmy w końcówce spotkania, bo bramka Simeona Petrowa dała nam wiarę w zdobycie choćby punktu. Chcieliśmy uratować mecz i trzeba było to zrobić. Pogoń oddała nam piłkę i czekała na swojej połowie. Straciliśmy jednak głupio piątą bramkę i było „po herbacie". Sezon to jednak nie jest sprint, a maraton, więc jeszcze nie wszystko stracone. Pokazaliśmy w poprzednim sezonie, że Śląsk walczy do końca. Teraz mamy przerwę na kadrę i chcemy wrócić z większą siłą. Nie myślimy o niczym innym tylko o trzech punktach w najbliższym meczu ze Stalą Mielec. Widzę, że czegoś nam brakuje w pierwszych minutach spotkań. Na pewno zrobimy analizę tego, co się dzieje. Wpada nam naprawdę zbyt dużo bramek, trudno to porównywać z poprzednim sezonem. Wcześniej strzelenie nam gola było bardzo trudne. Trzeba wrócić do rzeczywistości i zacząć punktować. Mnie takie porażki, jak ta z Pogonią, motywują do dalszej pracy. Będziemy pracować, aby szybko wyjść ze strefy spadkowej.

Bogdan Nather



Fot. Mateusz Porzucek / PressFocus

Ukrainiec Jehor Macenko przekonuje, że takie porażki, jak ta z Pogonią, motywują go do dalszej pracy.

Żadna nowość

Pięć strzelonych goli w jednym meczu w przypadku „portowców" nie jest rzadkością.



Fot. pogonszczecin.pl

Kapitan Pogoni Kamil Grosicki może być dumny z postawy swoich kolegów w ostatnim meczu ze Śląskiem Wrocław.

POGOŃ SZCZECIN

Piłkarze „Dumy Pomorza" należą do najbardziej bramkostrzelnych w ekstraklasie. W siedmiu meczach bieżącego sezonu 13 razy zmusili do kapitulacji bramkarzy i tylko Legia Warszawa może pochwalić się większą zdobyczą (16 goli). Natomiast takim samym dorobkiem strzeleckim jak szczecinianie legitymuje się Cracovia. W ostatniej kolejce podopieczni trenera Roberta Kolendowicza pokonali 5:3 Śląsk Wrocław, zaś łupem bramkowym podzieli się Efthymios Koulouris (41 i 89 minuta), Fredrik Ulvestad (9), Kamil Grosicki (21) i Alexander Gorgon (66).

Zauroczeni „piątkami"

Ostatnia kanonada „portowców" w potyczce z urzędującym wicemistrzem Polski nie była dziełem przypadku. Wystarczy cofnąć się do poprzedniego sezonu, by przekonać się, że zespół prowadzony wówczas przez Jensa Gustafssona trzykrotnie zakończył mecz z pięcioma trafieniami na liczniku.

Pierwsza „pod nóż" poszła Cracovia, która na własnym boisku uległa granatowo-bordowym aż 1:5. Gole dla zwycięzców zdobyli wtedy Kamil Grosicki (8 minuta, karny), Alexander Gorgon 2 (21, 50), Efthymios Koulouris (64) i Kacper Smoliński (87). Honorowe trafienie dla „Pasów" było dziełem Michała Rakoczego (90). Gwoli ścisłości dodajmy, że w 57 minucie rzutu karnego nie wykorzystał napastnik Cracovii Patryk Makuch.

Kolejną ofiarą „portowców" był Lech Poznań, który poległ w Szczecinie aż 0:5, co dla tak renomowanej drużyny było wstydliwym wynikiem. Bramkarza lechitów Bartosza Mrozka zmusili wtedy do kapitulacji Fredrik Ulvestad (17), Alexander Gorgon (33), Wahan Biczachczjan (39), Kamil Grosicki (47) i Mariusz Fornalczyk (90). W identycznych rozmiarach poległ na Stadionie im. Floriana Krygiera w Szczecinie chorzowski Ruch. Tym razem bramki poszły na konto Efthymisa Koulourisa (47, 54, 59), Mateusza Bartolewskiego (2, samobójcza) i Adriana Przyborka (35).

Punty najważniejsze

– Po to przychodzi ponad 20 tysięcy ludzi na nasze domowe spotkania, aby zobaczyć fajne show i zwycięstwa – stwierdził kapitan „portowców" Kamil Grosicki po wygranej nad wrocławianami. – To fani w meczu ze Śląskiem od nas dostali. Takie mecze są fajne dla kibiców. Pada dużo bramek, sporo się dzieje. Wiadomo jednak, że my, piłkarze, gdy prowadzimy 2:0 i tracimy dwie bramki, czujemy, że robi się nerwowo. Pokazaliśmy jednak charakter. Pokazaliśmy, że potrafimy się podnieść po takiej sytuacji i strzeliliśmy kolejne bramki. Trzy punkty są najważniejsze i z nich się cieszymy.

Szacunek dla zmienników

Zespół trenera Roberta Kolendowicza do ostatniego meczu ligowego przystąpił z mocno przemeblowaną obroną. – Duży szacunek dla piłkarzy, którzy czasami grają nie na swoich pozycjach. To trzeba docenić. Mamy teraz dużo kontuzji w zespole i bardzo szanuję tych piłkarzy, którzy potrafią zagrać na swojej nienominalnej pozycji i robić wszystko dla Pogoni. Cieszę się, że w takich okolicznościach wygraliśmy. Teraz jest przerwa na reprezentację i po jej zakończeniu do naszego składu będzie mogła wrócić część graczy, którzy ostatnio pauzowali. Będziemy więc jeszcze mocniejsi – podkreślił Grosicki. – Mecze u siebie są fantastyczne. W tamtym sezonie był taki moment, że na wyjazdach punktowaliśmy lepiej niż u siebie. W Szczecinie dużo punktów traciliśmy. Wydaje mi się jednak, że podstawą jest wygrywanie w domu. Na wyjazdach oczywiście też się musimy poprawić, żeby walczyć o najwyższe cele – dodał 36-letni skrzydłowy.

W rozjazdach

Po meczu ze Śląskiem część piłkarzy Pogoni udała się na zgrupowania swoich reprezentacji narodowych. Pozostali w planie mają zajęcia do środy, a następnie otrzymają od sztabu szkoleniowego wolne do końca tygodnia. Na zgrupowania reprezentacji udali się: Linus Wahlqvist (Szwecja), Wahan Biczachczjan (Armenia), Patryk Paryzek (Polska U-19), Adrian Przyborek oraz Maciej Wojciechowski (obaj Polska U-18).

Bogdan Nather

PODWÓJNY NELSON

Miecz Damoklesa*

Bogdan Nather



W ubiegły czwartek (29 sierpnia) zapadł wyrok wobec dwóch arbitrów, Bartosza Frankowskiego i Tomasza Musiała. Obaj zostali uznani za odpowiedzialnych naruszenia porządku publicznego oraz nieprzestrzegania sportowego trybu życia. Komisja Dyscyplina PZPN zdyskwalifikowała ich na rok, z częściowym zawieszeniem kary. Konkretnie każdy z obwinionych wykona orzeczoną karę dyskwalifikacji w wymiarze pięciu miesięcy, natomiast wykonanie pozostałej części kary dyskwalifikacji, tj. siedmiu miesięcy, zostaje zawieszone na okres próby wynoszący dwa lata. Ponadto każdy z nich musi zapłacić 25 tysięcy złotych grzywny.

W momencie publikacji komunikatu Komisji Dyscyplinarnej ze wzruszenia łzy napłynęły mi do oczu. Niestety, nie mam świadków, że tak było, ale proszę uwierzyć mi na słowo. Spodziewałem się bowiem znacznie surowszego „wyroku", gdyż w pierwszej chwili obaj rozjemcy zostali zdyskwalifikowani na 90 dni, czyli trzy miesiące. Teraz poprzeczka poszła w górę o dwa „miechy", ale na bohaterach tej afery nie zrobiło to zapewne żadnego wrażenia. W rundzie wiosennej znowu wezmą gwizdek do ręki i jak gdyby nigdy nic będą biegali po boiskach ekstraklasy i I ligi.

Jeden z felietonistów próbował przekonywać swoich czytelników, że kara jest adekwatna do czynu. Guzik prawda! Mający status arbitrów międzynarodowych panowie powinni świecić przykładem, a zrobili z tej grupy zawodowej pośmiewisko na całą Polskę i pół Europy. Zgoda, można dostać drugą szansę, mieć prawo do rehabilitacji, ale nie powinno się stosować taryfy ulgowej (czytaj: prawa łaski) bezrefleksyjnie. Nie zamierzałem bynajmniej sugerować dożywotniej dyskwalifikacji, ale rok „odpoczynku" byłby w porządku i sprawiedliwy wobec tych arbitrów, którzy nie podpadli.

Drugą sprawą, nad którą zamierzam się pochylić, to przypadek Jacka W., byłego zawodnika (użycie w jego przypadku słowa „piłkarz" byłoby nadużyciem) m.in. Górnika Zabrze i Cracovii. Piszę bez znieczulenia – ten delikwent NIE MIAŁ PRAWA trafić do Galerii Sław Górnika, no bo czym zasłużył się dla 14-krotnego mistrza Polski? Ile zdobył tytułów, Pucharów Polski? Takim PIŁKARZOM jak chociażby Ernest Pohl, Włodzimierz Lubański, Stanisław Oślizło, Zygfryd Szołtysik czy Jerzy Gorgoń nie był godzien nawet zawiązać sznurówek w butach.

Bardziej od nominacji pana W. do tego elitarnego grona irytuje mnie postawa przedstawicieli klubu z Zabrza. Ich zaniechanie w tej kwestii jest oburzające, by nie użyć bardziej dosadnego określenia. Już przed dwoma laty, gdy W. został zatrzymany przez policję, ówczesny rzecznik prasowy klubu Konrad Kołakowski poinformował, że Górnik nie zamierza podejmować w związku tym żadnych działań. „Klub nie posiada żadnej wiedzy na temat postawienia zarzutów byłemu piłkarzowi Górnika. Pan Jacek W. nie pełni obecnie żadnej funkcji w klubie. Na dzień dzisiejszy klub nie planuje kogokolwiek z Galerii Sław usuwać czy zasłaniać".


Fot. Michał Kość / PressFocus

Co widzi w monitorze sędzia Tomasz Musiał?

Przed kilkoma dniami Prokuratura w Nowym Sączu zakończyła śledztwo w sprawie zorganizowanej grupy przestępczej o charakterze zbrojnym, której postawiono zarzuty włamań, kradzieży, rozbojów, posiadania broni, a której jednym z 23 członków był były piłkarz Górnika Zabrze. Obecny rzecznik klubu z Roosevelta Mateusz Antczak postanowił uderzyć w podobne tony co jego poprzednik. Stwierdził mianowicie, że „Górnik zamierza śledzić sprawę, jednak nie planuje podejmowania żadnych działań, dopóki nie zapadnie oficjalny wyrok". Dobre sobie! Już sam fakt obecności w przestępczej szajce powinien dyskwalifikować Jacka W. z grona wybitnych postaci zabrzańskiego klubu. Wstydźcie się, włodarze Górnika! Chciałbym wierzyć, że macie „jaja" i zareagujecie we właściwy sposób na ten – nie bójmy się tego słowa – skandal. Mam też nadzieję, że będziecie mieli na tyle odwagi i przyzwoitości, by zrobić to, nim przejdę na emeryturę.

* Miecz Damoklesa to związek frazeologiczny nawiązujący do anegdoty o tyranie z Syrakuz, Dionizjuszu. W przenośni oznacza on stałą groźbę wiszącą nad kimś beztrosko używającym życia i korzystającym z dobrodziejstw swego stanowiska.

Sport 72671dfeae

Trener ma swoje spojrzenie

Rozmowa z **Martinem Konczkowskim**, obrońcą Ruchu Chorzów

Jak smakuje długo wyczekiwane zwycięstwo?

– Trochę czasu minęło od ostatniej wygranej. Zwycięstwo więc bardzo cieszy. Wiemy, jakie nastąpiły zmiany w klubie i drużynie, dlatego najważniejsze było, aby z Górnikiem zagrać dobrze i zdobyć 3 punkty. Ten cel zrealizowaliśmy.

Walka trwała do samego końca, bo Górnik zdobył bramkę kontaktową w doliczonym czasie.

– Przy stanie 2:1 jeszcze podwyższyliśmy wynik i to było kluczowe. We wcześniejszych meczach było tak, że strzelaliśmy gole, ale traciliśmy prowadzenie. Na minus jest oczywiście to, że w sobotę straciliśmy drugiego gola, ale na szczęście mieliśmy wówczas dwubramkową przewagę. Najważniejsze było jednak zdobycie trzech punktów.

Często mówi się o efekcie nowej miotły. Jak wygląda praca z nowym trenerem?

– Trener późno dołączył do zespołu, w środku tygodnia, więc mieliśmy tylko trzy treningi. Mimo krótkiego czasu zmiany było widać na boisku. Tak jak powiedziałem, najważniejsze, że wygraliśmy. Teraz możemy przepracować dwa tygodnie w lepszych humorach. Trener Szulczek od początku miał pomysł i wdrożył go już od pierwszego treningu. Wiedzieliśmy, co mamy zmienić, jak chcemy grać. Trener też sporo z nami rozmawiał i cieszę się, że to przyniosło efekt.

Podkreśla pan wagę trzech punktów, ale oprócz tego zmienił się wasz styl. Ruch chciało się w tym meczu oglądać.

– Tak, zaprezentowaliśmy się lepiej niż w Płocku czy – zwłaszcza – w Gdyni. Nasza gra napawała optymizmem. Chcemy iść w tym kierunku.



Fot. Marcin Bulanda / PressFocus

Obrońca „Niebieskich" dostrzega plusy i minusy po wygranym meczu z Górnikiem Łęczna.

W waszej grze było widać lekkość i łatwość w kreowaniu sytuacji, których nie było w poprzednich meczach. Co się stało, że po odejściu trenera Niedźwiedzia Ruch zaczął lepiej wyglądać?

– Trudno mi jednoznacznie powiedzieć, co się stało. Nowy trener ma inne spojrzenie na drużynę. Wprowadził korekty w składzie. Wiedzieliśmy, że to będzie trudne spotkanie, ale za wszelką cenę chcieliśmy je wygrać. Cieszę się, że było to widać w wielu momentach.

Zmiana ustawienia na 4-4-2 pomogła?

– Całą pierwszą połowę graliśmy w ten sposób i nasza gra wyglądała bardzo obiecująco. Trzeba przyznać, że przy pierwszej bramce, którą straciliśmy, strzał życia oddał Adam Deja. W drugiej połowie z czasem przeszliśmy na trójkę obrońców, więc pod tym kątem jesteśmy elastyczni i jest to kolejny plus.

Jak się współpracowało na prawej flance z nowym kolegą, Mo Mezghranim?

– Wyglądało to całkiem nieźle, ale możemy wycisnąć z tego jeszcze więcej.

Rozmawiał Piotr Tubacki

43
DNI
czekał na drugą wygraną w tym sezonie Ruch Chorzów. Pierwszą odniósł 19 lipca w Opolu z Odrą, a drugą, 31 sierpnia z Górnikiem Łęczna na Stadionie Śląskim.

27
TRENERÓW
Ruchu zaczynało swoją przygodę od debiutanckiego zwycięstwa, a Dawid Szulczek jest jednym z nich. Znalazł się w szczególnym gronie m.in. z Ryszardem Koncewiczem, Gerardem Cieślikiem, Teodorem Wieczorkiem, Jerzym Wyrobkiem czy Edwardem Lorensem. Ostatnim szkoleniowcem, który wygrał swój pierwszy mecz, był Łukasz Bereta w sierpniu 2019 (ze Skrą Częstochowa). Sztuka ta nie udała się Jarosławowi Skrobaczowi (remis z Pogonią Siedlce), Janowi Wosiowi (remis z Radomiakiem) i Januszowi Niedźwiedziowi (porażka z Legią).

Chcą być czarnym koniem

Nikt nie spodziewał się, że tak dobrze zaczniemy ten sezon – powiedział „Sportowi" Adam Deja, kapitan Górnika Łęczna.

GÓRNIK ŁĘCZNA

Gdyby wygrał, byłby wiceliderem. Górnik w Chorzowie zanotował jednak pierwszą porażkę w sezonie i ostatecznie – mając jeszcze zaległy mecz z Wisłą Kraków – znajduje się tuż za podium. – Wielka szkoda, bo w pierwszej połowie wróciliśmy do gry i zdobyliśmy bramkę do szatni. Myślałem, że po przerwie będzie lepiej i przechylimy szalę zwycięstwa na naszą korzyść. Druga i trzecia bramka nas podłamały i było za mało czasu, żeby zremisować – skomentował sobotni występ w rozmowie ze „Sportem" kapitan łęcznian Adam Deja.

To napędziło Ruch

Pochodzący z górnośląskiego Olesna pomocnik występuje w Górniku od zeszłego sezonu. Latem w klubie z Łęcznej zaszło wiele zmian i 31-latek został nowym kapitanem drużyny, w której był kluczową postacią już w minionej kampanii. Przyczyn porażki nie potrafił jednak jednoznacznie określić.

– Trudno powiedzieć, dlaczego nie nabraliśmy tempa. Ruch złapał wiatr w żagle, miał dużo rzutów rożnych, szczególnie w ciągu 10 minut, co też go napędziło. Potem strzelił drugiego gola, a my musieliśmy się trochę odkryć, czego efektem była trzecia bramka – relacjonował po porażce 2:3 na Stadionie Śląskim Deja, dodając, że zmiana ustawienia „Niebieskich" na to z czwórką obrońców nie zaskoczyła jego zespołu. – Byliśmy na to przygotowani. Też zmienialiśmy w trakcie meczu warianty ustawienia, ale czegoś zabrakło. Mamy teraz dwa tygodnie, aby to spokojnie przeanalizować i wracamy do gry.

Taki zawodnik to skarb

Deja z tego meczu zapamięta na pewno jeden miły moment. Tuż przed przerwą kropnął z około 30 metrów i zdobył fantastyczną bramkę na 1:1. W przeszłości zdarzało mu się już strzelać takie gole. Bliźniaczego zdobył w barwach Arki w sezonie 2019/20 (z Koroną Kielce), a w kolejnym sezonie, także dla Arki, trafił do siatki z połowy boiska w Sosnowcu. – Dawno już tak nie strzeliłem, ale na taką bramkę warto czekać – uśmiechnął się pomocnik.

Drugiego gola, który jednak nic nie dał Górnikowi, strzelił w samej końcówce Damian Warchoł, najskuteczniejszy zawodnik I ligi. W 6 występach zaliczył 7 trafień i ani razu nie zagrał jeszcze meczu bez bramki! Z powodu urazu opuścił spotkanie z Arką Gdynia, a w Chorzowie wszedł z ławki. To mu jednak nie przeszkodziło, by pokonać bramkarza. Już teraz 29-latek rozgrywa jeden ze swoich najlepszych sezonów w karierze! – Oby nigdy nie przestał strzelać! – uśmiechał się Deja. – Damian ma taki dar, że nieważne, czy gra cały mecz, czy 5 minut, piłka zawsze go znajdzie. Tak też było w sobotę. Taki zawodnik to skarb w zespole – pochwalił kapitan.

Zupełnie nowa drużyna

Górnik to zespół atakujący ekstraklasę z drugiego szeregu. W pierwszym wymieniano takie ekipy jak Miedź, Bruk-Bet, obie Wisły, Arkę czy Ruch. W Łęcznej aż tak wielkiej presji nie ma. – Trochę nam to pomaga, ale mam nadzieję, że będziemy czarnym koniem tego sezonu. Zaczęliśmy bardzo dobrze, czego nikt się nie spodziewał. Mamy prawie cały nowy skład, przebudowaną obronę i myślę, że z każdym spotkaniem będziemy wyglądać jeszcze lepiej. Każdy mecz działa na naszą korzyść – zaznaczył Deja.

Klub z Łęcznej jest jednym z kilku na zapleczu ekstraklasy, w którym latem dokonała się prawdziwa rewolucja kadrowa. Nikt jednak nie narzekał tam na wieczny brak czasu. Piłkarze od razu zaczęli solidnie punktować, budując cenny kapitał. Odeszli m.in. bramkarz Gostomski, obrońcy Cisse, Klemenz i Dziwniel, pomocnicy Gąska, Łukasiak, Fazlagić, skrzydłowi Durmus, Starzyński i Młyński. W kadrze jest aktualnie tylko 4 piłkarzy, którzy grali w Łęcznej w sezonie 2022/23, a w Chorzowie od pierwszej minuty zagrało aż 7 zawodników sprowadzonych w trakcie trwającego nadal okienka transferowego. – Latem zmieniło się nam 3/4 składu, odszedł trzon i musieliśmy to posklejać. Jak na razie trener Pavol Stano robi to bardzo dobrze, a 16 punktów po pierwszych kilku meczach napawa optymizmem i mamy nadzieję, że nadal będzie to tak wyglądało – przyznał Deja.

Piotr Tubacki



Fot. Łukasz Laskowski / Press Focus

Gdy Adam Deja podnosi głowę, bramkarz rywali może spodziewać się najgorszego.

Sport 72671dfeae

Wciąż bez porażki

11
PIŁKARZY zdobywało w tym sezonie bramki dla Bruk-Betu Termaliki. Na tym etapie rozgrywek jest to wyjątkowy wynik. Druga pod tym względem jest Miedź Legnica, w której dziewięciu zawodników wpisało się na listę strzelców.

Minęło już osiem kolejek, a Bruk-Bet Termalica nadal pozostaje niepokonana.

BRUK-BET TERMALICA NIECIECZA

Można było przewidzieć, jak zakończy się wyjazd beniaminka ze Stalowej Woli do Niecieczy. Bruk-Bet Termalica w tym sezonie jeszcze nie przegrała, a Stal zmaga się z ogromnymi problemami po awansie. Drużyna trenera Ireneusza Pietrzykowskiego jeszcze nie zaznała smaku zwycięstwa. Nie mogło więc dziwić, że zespół z Podkarpacia przegrał 0:3.

Spotkanie po raz kolejny było pokazem umiejętności podopiecznych Marcina Brosza. Niezależnie od tego, jak toczą się ich spotkania, potrafią znaleźć odpowiedni sposób, by zakończyć rywalizację pozytywnym rezultatem. Tylko Ruchowi udało się urwać im punkty, chorzowianie wywieźli z Niecieczy remis. Od tamtego momentu Bruk-Bet Termalica wygrała trzy kolejne mecze: z Wisłą Płock (4:2), GKS-em Tychy (2:0) i teraz ze Stalą Stalowa Wola.

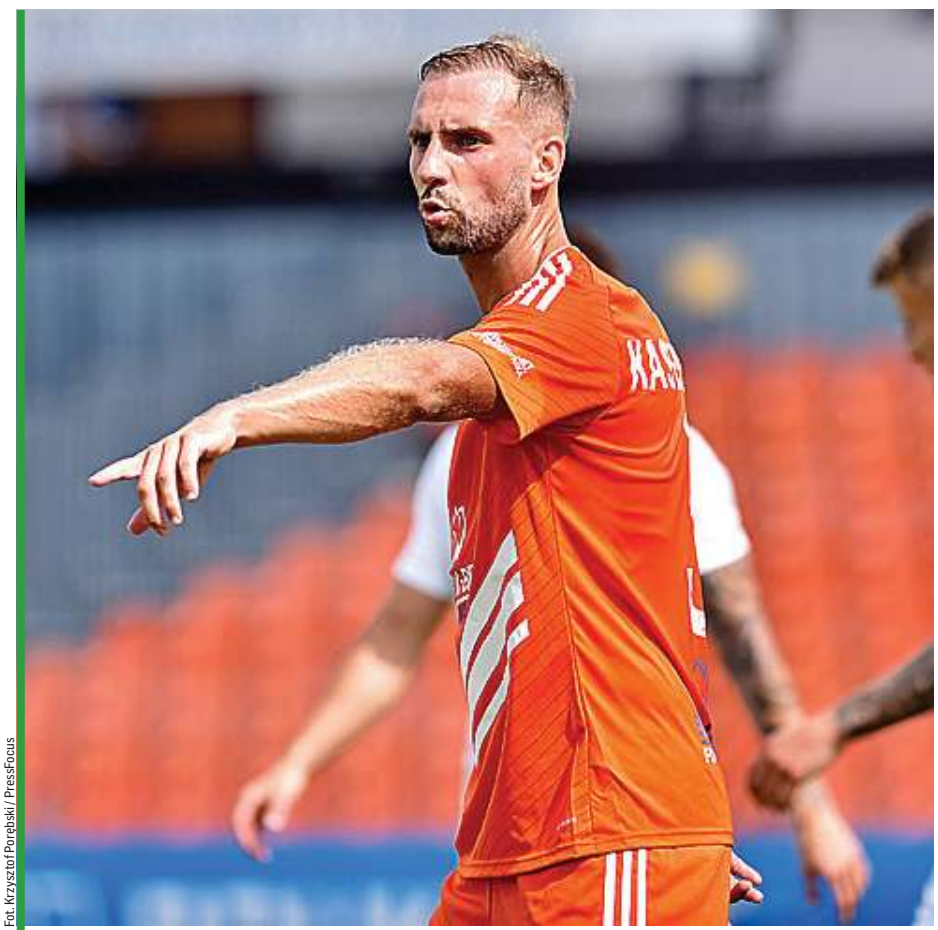
Trener Brosz na wstępie konferencji prasowej po spotkaniu zaznaczył, że docenia rozwój ekipy ze Stalowej Woli. Prawda jest jednak taka, że Stal została zepchnięta do defensywy i przez 90 minut oddała tylko jeden celny strzał. Co prawda nieźle się broniła, ale w 24 minucie nie była w stanie powstrzymać w polu karnym Kamila Zapolnika, który po rzucie rożnym skierował piłkę do bramki.

– „Stalówka" od początku meczu cofnęła się na swoją połowę. Bramka była kwestią czasu. Wiedzieliśmy, że gdy strzelimy pierwszego gola, spotkanie się otworzy i będzie więcej miejsca na boisku – zaznaczył Jakub Nowakowski, który w niedzielnym starciu także pokonał bramkarza Stali. Oprócz niego i Zapolnika na listę strzelców wpisał się także Arkadiusz Kasperkiewicz. – Ogromnie się cieszę z trzech bramek. Należy zauważyć, że gole zdobywali piłkarze, którzy w tym sezonie jeszcze nie wpisali się na listę strzelców. Nasza grupa zawodników, którzy strzelają bramki, zwiększyła się. To dla nas ogromnie ważne – stwierdził Marcin Brosz. Szczególne było trafienie wspomnianego Nowakowskiego. Dla 22-latka mecz ze Stalą był dopiero pierwszym w sezonie. – Ostatni okres był dla mnie nieudany, bez minut w lidze. Musiałem popracować podczas treningów, co dało efekt w postaci wejścia z ławki i bramki – zauważył wychowanek Radomiaka.

Najważniejsze jest jednak nie to, kto strzelił gola, ale zwycięstwo. W ośmiu ligowych meczach Bruk-Bet Termalica jest niepokonana. Strzela do tego mnóstwo goli. 22 trafienia to wynik, do którego rywalom daleko. Drugim najlepszym dorobkiem bramkowym w I lidze pochwalić się może Stal Rzeszów, która strzeliła „zaledwie" 16 bramek. – Oby ta seria trwała jak najdłużej – wyraził nadzieję Nowakowski.

Zawodnicy z Niecieczy nad drugimi w tabeli rzeszowianami, z którymi zmierzą się w następnym ligowym meczu, mają 5 punktów przewagi. Rozpoczynają więc przerwę reprezentacyjną w wyjątkowo dobrych humorach.

Kacper Janoszka



Fot. Krzysztof Porębski / PressFocus

Arkadiusz Kasperkiewicz zdobył pierwszą bramkę w tym sezonie.



Fot. Łukasz Sobala / PressFocus

Nowy trener tyszan będzie miał czas podczas przerwy reprezentacyjnej na pracę z zespołem.

Głodni rozwoju i zwycięstw

Artur Skowronek, nowy trener GKS-u Tychy, uważa, że jego podopiecznych stać na grę na wyższym poziomie.

GKS TYCHY

Nowy szkoleniowiec i inna jedenastka – pierwszy raz w historii klubu z pięcioma obcokrajowcami – oraz zmieniony styl gry nie przyniosły upragnionego efektu. Z ośmiu meczów GKS aż sześć zremisował. W dodatku w miniony weekend tyszanie piąty raz nie strzelili gola… Jedyny plus po meczu z Wisłą Płock jest taki, że bramkarz Marcel Łubik piąty raz nie dał się pokonać.

– Czujemy oczywiście duże niezadowolenie, ale też podchodzimy z pokorą do tego spotkania i jego wyniku – podkreślił szkoleniowiec GKS-u Tychy Artur Skowronek. – Płock to jest bardzo trudny teren. Wisła ma dużą jakość na boisku i dużą jakość na ławce. Wiedzieliśmy, że musimy trzymać intensywność, żeby powalczyć o zwycięstwo, bo z takim nastawieniem oczywiście tutaj przyjechaliśmy – dodał.

Kilka momentów

Szkoleniowiec tyszan szybko zdiagnozował główną bolączkę swojego zespołu, który w 7 spotkaniach pod wodzą trenera Dariusza Banasika strzelił tylko 4 gole.

– Nie tworzyliśmy tyle sytuacji, żeby powiedzieć z czystym sumieniem, że mogliśmy dopisać do swojego bilansu coś więcej niż punkt – wyjaśnił trener tyszan. – Doskonale wiemy, że mamy najsłabszy bilans bramkowy. Mamy najmniej strzelonych goli w całej I lidze, bo tylko cztery, chociaż dysponujemy bardzo dużym potencjałem ofensywnym i przez pierwsze trzy dni mojej pracy staraliśmy się go „uruchamiać". Mieliśmy kilka momentów w spotkaniu, gdy nasza gra nieźle wyglądała, ale dużo jest jeszcze do poprawy. Sporo pozytywów można wyciągnąć, myśląc również o intensywności i zakładaniu pressingu na takim terenie jak Płock. Tak chcemy funkcjonować.

3.
RAZ z rzędu Artur Skowronek nie wygrał swojego pierwszego ligowego meczu w nowym klubie. Gdy przejmował Wisłę Kraków w 2019 roku, przegrał na starcie ze Śląskiem Wrocław 1:2. W 2021 w pierwszym spotkaniu w roli trenera Zagłębia Sosnowiec zremisował 0:0 z Koroną, choć kilka dni wcześniej w Pucharze Polski pokonał Ruch Zdzieszowice 6:0. Teraz, gdy pracuje w Tychach, bezbramkowo zremisował z Wisłą Płock.

Odważni i konkretni

Szkoleniowiec po ostatnim gwizdku chwalił postawę 20-letniego bramkarza Marcela Łubika, choć zdawał sobie sprawę, że on sam nawet w najlepszej formie meczu GKS-owi nie wygra. Co najwyżej może nie dopuścić do porażek, ale remisami awansu do pierwszej szóstki trójkolorowi na pewno nie wywalczą, a przecież właśnie to jest cel klubu. Trzeba więc wykreować bohatera ofensywy.

– Marcel dużo nam pomógł, ale też widzę bardzo dużo pozytywów w grze całej drużyny z perspektywy trzech dni, które do meczu w Płocku razem przepracowaliśmy. Cieszę się, że będę miał teraz więcej czasu na pracę z drużyną w trakcie przerwy na kadrę. Będziemy mogli poszukać więcej rozwiązań, żeby właśnie w ataku być jeszcze bardziej odważnymi, konkretnymi i wreszcie zdobywać gole. Przede wszystkim z tymi piłkarzami, których mamy w szatni, chcemy wejść na wyższy poziom. Absolutnie jestem przekonany, że to zrobimy. U piłkarzy widzę duży głód rozwoju, głód zwycięstw. I to jest najważniejsze. Skupiam się na tym, żeby takie nastawienie budować codziennie – zakończył Artur Skowronek.

Jerzy Dusik

Sport 72671dfeae

Ostatecznie i definitywnie!

Rozmowa z **Kamilem Wilczkiem**, byłym napastnikiem Piasta Gliwice i trzykrotnym reprezentantem Polski

Rozmawialiśmy niedawno, ale wtedy jeszcze nie był pan do końca zdecydowany, co dalej z karierą.

– Dałem sobie jeszcze miesiąc na przemyślenie, ale raczej byłem przekonany, że będę ją kończył. Chciałem zobaczyć, czy po czasie, po przemyśleniach, zatęsknię za piłką, czy będzie mi brakowało rytmu treningowego... Żadna nostalgia we mnie się jednak nie odezwała. Nie miałem odczucia, że muszę kontynuować grę w piłkę. Nie pojawiła się też interesująca oferta, więc zdecydowałem się zakończyć karierę. W życiu trzeba podejmować trudne decyzje. Ja właśnie taką podjąłem.

Wymagała ona długich przemyśleń i konsultacji z rodziną? Czy stało się to jednego dnia?

– Założyłem sobie kiedyś, że w wieku 36 lat zejdę z boiska, że skończę grać w piłkę. Im bliżej było „finału", tym człowiek zaczynał się głębiej zastanawiać. Miewałem różne przemyślenia. Nie ukrywam, że robiąc coś przez 20 lat, a tyle mojego życia zabrała profesjonalna gra w piłkę, trudno się przygotować do zawieszenia butów na kołku i płynnie przejść do nowego etapu. Jednak z wielu przyczyn podjąłem słuszną decyzję. Była ona przemyślana i życie toczy się dalej. Teraz będę się rozwijał w innych kierunkach.

Zapytam jak Hubert Urbański w „Milionerach". Ostatecznie? Definitywnie?

– Ostatecznie i definitywnie! To nieodwracalne. Wyglądałbym niepoważnie, gdybym jednego dnia mówił jedno, a drugiego robił coś innego. Nie będę wracał na siłę do gry w piłkę i próbował przeciągać linę.

Czyli w klasie A lub IV lidze nie zobaczymy już Kamila Wilczka goniącego za piłką nawet rekreacyjnie?

– Nie, nie. To absolutnie nie wchodzi w grę. Oczywiście amatorsko mogę pograć sobie z kolegami, czy zagrać nawet gdzieś charytatywnie, ale w okręgówce w grze o punkty na pewno mnie nie zobaczycie.

Początek rozmowy rysuje postać człowieka rozważnego, wiedzącego, czego w życiu pragnie.



Fot. Mateusz Sobczak/PressFocus

Kamil Wilczek na boisku się już nie pojawi. Widzi siebie w nowej roli.

– Nie ukrywam, że słuchałem wielu piłkarzy, którzy przechodząc na emeryturę, mówili, że największym problemem jest niewiedza. Nie wiedzieli, co będą robić po zakończeniu kariery. Ja nie chciałem znaleźć się w takiej sytuacji, że minie miesiąc, dwa, trzy i dopiero zacznę się zastanawiać, co dalej będę robił. Już przed końcem kariery wiedziałem, w jakim kierunku pójdę i w jaki sposób będę się realizował. A później, po czasie, życie mnie zweryfikuje. Mam jednak plan i powolutku będę do niego dążył.

Rozmawiałem z Arturem Sobiechem, który ma podobne plany, gdy zakończy karierę – także chce zostać dyrektorem sportowym i wybiera się jesienią na kurs organizowany przez PZPN.

– Jesteśmy z Arturem w kontakcie. Rozmawialiśmy o naszych zbieżnych planach i będzie fajnie, jeśli się zakwalifikujemy. Będziemy mogli razem jeździć na kurs, znamy się od wielu lat, będzie nam raźniej.

Zamieni pan bez wahania codzienne treningi i pobyt na świeżym powietrzu na biurko i wygodny fotel?

– Wielu piłkarzy w przeszłości nie szło w tym kierunku. Nie chcieli też być trenerami... Nie wiem, jaki jest tego powód, ale widzę, że ten trend się ostatnio odwraca. Na pewno dobrą robotę w tym aspekcie robi PZPN, który wyszedł z inicjatywą, pomagając wybrać piłkarzom kierunek rozwoju. Chciałbym się rozwijać dwukierunkowo.

Czyli?

– Pierwszy kierunek to dyrektor sportowy. W tej dziedzinie chcę się bardzo mocno rozwijać w najbliższym czasie. Drugim celem są treningi indywidualne, w których będę się zajmował tylko napastnikami. Chcę pomagać im w strzelaniu jak największej liczby goli. To jest na razie temat bardziej hobbystyczny, ale taki trening indywidualny pozwoli mi być bliżej boiska i będzie to fajna odskocznia od siedzenia w gabinecie.

To dobry kierunek?

KRÓLOWIE STRZELCÓW W OSTATNICH 10 SEZONACH

2014/2015 Kamil Wilczek (Piast) - 20
2015/2016 Nemanja Nikolić (Legia) - 28
2016/2017 Marco Paixao (Lechia) i Marcin Robak (Lech) - 18
2017/2018 Carlitos (Wisła Kraków) - 24
2018/2019 Igor Angulo (Górnik) - 24
2019/2020 Christian Gytkjaer (Lech) - 24
2020/2021 Tomas Pekhart (Legia) - 22
2021/2022 Ivi Lopez (Raków) - 20
2022/2023 Marc Gual (Jagiellonia) - 15
2023/2024 Erik Exposito (Śląsk) - 19

– Jest duży potencjał w pracy z napastnikami indywidualnie i w klubach. Powoli zmierzamy w tym kierunku, że trening indywidualny jest w stanie bardzo mocno rozwinąć piłkarza. Coraz więcej klubów będzie akceptowało fakt, że nie tylko są trenerzy bramkarzy, ale także napastników. Za kogo się dzisiaj najwięcej płaci? Właśnie za chłopaków, którzy strzelają bramki! Dlaczego więc nie poświęcać im więcej czasu, dlaczego ich nie rozwijać, żeby byli jeszcze lepsi? Zobaczyłem to w Danii i jest to właściwy kierunek.

Nie uważa pan, że młodzi napastnicy nie napierają? Są talenty wśród ofensywnych pomocników, środkowych rozgrywających, a klasycznych dziewiątek jest deficyt. Z czego to wynika?

– Rzeczywiście, brakuje chłopaków na tej pozycji. Jak myślałem o napastnikach ekstraklasy w ostatnich latach, musiałem długo szukać w pamięci, który z Polaków był ostatnim królem strzelców (Marcin Robak w 2017 roku - przyp. red.). Trening indywidualny jest odpowiedzią na ten problem i to nie tylko na poziomie seniorskim. Takie zajęcia są w stanie spowodować, że napastnicy będą łapali dobre nawyki, mieli wyobrażenie, jak powinna wyglądać ich gra.

W pana regionie piłkarskich talentów nie brakuje, więc pracy też nie będzie pan szukał...

– Szymon Żurkowski jest z Jastrzębia, Bartosz Slisz z Rybnika... Talenty są w Wodzisławiu, Rybniku, Jastrzębiu i okolicach. Jeżeli popatrzymy, ilu chłopaków trenuje, a myślę właśnie o moim regionie, to naprawdę potencjał jest duży. Jest masa szkółek i duże możliwości, by szkolić dobrych piłkarzy na jeszcze większą skalę.

Pan jest doskonałym przykładem, że w drodze na szczyt trzeba zaliczać kolejne szczeble przygody z piłką.

– W moim pokoleniu 95 procent chłopaków chciało grać w piłkę. Wychodziło się codziennie na dwór, szło na boisko i kopało. Jestem szczęściarzem, patrząc na to, ilu chciało zostać profesjonalistami. Oczywiście poparłem to ciężką pracą, ale szczęście było potrzebne, by tyle lat grać na dobrym poziomie. Zaczynałem od okręgówki, potem grałem w IV lidze w Hiszpanii, później w I lidze, a później już na najwyższym poziomie w Polsce i za granicą. Tak więc nic samo nie przyszło, tylko trzeba było to sobie wypracować.

W reprezentacji miał pan jednak pecha, bo w tym czasie był wysyp świetnych napastników.

– Miałem szczęście, nie pecha. To był fajny okres. Konkurencja była duża, ale cieszę się, że udało mi się w tej grupie przebywać przez cztery lata. Szkoda, że na mistrzostwa się nie załapałem. Fajnie byłoby to wspominać, ale mimo wszystko cieszę się, że mogłem w reprezentacji być.

Wyjazd za granicę – to dobry kierunek rozwoju dla młodych talentów?

– Podróże kształcą. Uważam, że warto wyjeżdżać. Inne spojrzenie, inna kultura, człowiek rozwija się piłkarsko i osobowościowo. Dzisiaj świat stoi otworem, więc warto zmieniać środowisko, szukać czegoś nowego, byleby nie robić tego na wariata. Oczywiście nie jest to łatwe, doradców zawsze jest wielu, a kluczem jest podejmowanie decyzji na chłodno, z rozsądkiem.

Na koniec kariery wrócił pan do Polski.

– Lata spędziłem w Kopenhadze. To kapitalne miasto. Nie spodziewałem się, że tak mi się spodoba, że będę tam tak długo. Z sentymentem będę tam wracał. Inne miejsca, w których grałem, czyli Włochy, Izmir w Turcji, Alicante w Hiszpanii to piękne regiony, turystyczne miasta. Sporo tych miejsc było i do każdego mam sentyment. Taki był jednak mój plan. Wiedziałem, że wyjadę z kraju, ale finalnie wrócę. Tutaj mam rodzinę, bliskich, znajomych. Tak układałem swoje życie, by na koniec kariery wrócić do Polski.

Rozmawiał
Zbigniew Cieńciała

KAMIL WILCZEK

■ Urodził się 14 stycznia 1988 roku w Wodzisławiu Śląskim i tam rozpoczynał piłkarską karierę. Jeszcze jako nastolatek trafił do Hiszpanii, gdzie grał w klubach z niższych lig. W ekstraklasie zadebiutował w Piaście. W gliwickim zespole rozegrał w sumie 165 spotkań, strzelił 52 gole i sięgnął po koronę króla strzelców (20 goli w sezonie 2014/15). Grał także we Włoszech (Capri) i w Turcji (Goeztepe). Najwięcej osiągnął w Danii, gdzie z FC Kopenhaga był mistrzem (2022), a z Broendby sięgnął po puchar (2017). W reprezentacji Polski wystąpił trzy razy. Szansę debiutu dał mu selekcjoner Adam Nawałka, który powołał go na wszystkie zgrupowania w trakcie trwania eliminacji do mistrzostw świata w 2018 roku. Na rosyjskimundial śląski napastnik nie dostał jednak zaproszenia.

Sport 72671dfeae

W poszukiwaniu porozumienia

Najpierw trener Rekordu Bielsko-Biała przeprosił kibiców za porażkę, a potem zwrócił się do swoich zawodników. Dariusz Klacza dał im dwa dni na... przekonanie go do dalszej współpracy.

REKORD BIELSKO-BIAŁA

Porażka (2:4) w domowym meczu z rezerwami ŁKS-u Łódź była trzecią w czterech ostatnich spotkaniach beniaminka; w dwóch z nich prowadził w końcówce różnicą dwóch i trzech goli, a mimo to stracił punkty z Resovią i Zagłębiem II Lubin. Na pomeczowej konferencji trener Dariusz Klacza przeprosił kibiców za styl gry i porażkę oraz oddał się do dyspozycji zarządu, cokolwiek miałoby to oznaczać. – Na początek przeprosiny dla wszystkich sympatyków, że musieli oglądać te 60-70 minut słabej dyspozycji zespołu. Po drugie chciałbym poprosić zawodników o głębokie zastanowienie i zapytać ich, czy czują nić porozumienia ze mną. Ja taką nić czułem do momentu, gdy trochę zwątpiliśmy, że możemy ten mecz wygrać. Jesteście taktycznie przygotowani i jesteście grupą świetnych ludzi, ale musicie zacząć zwyciężać – apelował 37-latek.


Fot. Piotr Matusewicz / PressFocus

Dariusz Klacza staje się coraz bardziej oryginalnym trenerem...

Dymisji nie było

Trener Klacza poinformował, że „oddał się do dyspozycji zarządu". – Wierzę w ten projekt, ale musi mnie do niego przekonać zespół. Jeśli do wtorku drużyna tego nie zrobi, to podam się do dymisji i nie będę dalej przekonywał zarządu do zakończenia współpracy – mówił szkoleniowiec. – Oddaję zawodnikom ostatnie 20 minut, bo chęć i zawziętość do tego, że możemy strzelić kolejnego gola były. Przypomniałem sobie stare, dobre czasy, współpracy na linii Klacza – zespół. Głęboko wierzę, że to nie będzie moja ostatnia konferencja – zakończył trener Rekordu. Do momentu zamknięcia tego wydania „Sportu" klub nie poinformował o rozstaniu, więc można podejrzewać, że zespół... przekonał Klaczę do dalszej współpracy, a ten otrzymał wsparcie prezesa Janusza Szymury.

Wypożyczyli bramkarza

Rekord natomiast ogłosił pozyskanie nowego bramkarza. Wobec niepewnej dyspozycji Pawła Florka, kontuzji Krzysztofa Żerdki i faktu, że w kadrze jest jeszcze tylko 15-letni Wiktor Żołneczko, który wciąż nie zadebiutował w seniorskiej piłce, beniaminek do końca sezonu wypożyczył Wiktora Kaczorowskiego. 23-letni bramkarz jest zawodnikiem rywala bielszczan, Hutnika Kraków. Grać zaczynał w MKS-ie Kolbuszowa, skąd trafił do Stali Mielec, a następnie był piłkarzem młodzieżowych drużyn Jagiellonii Białystok i Stali Rzeszów. Rundę wiosenną sezonu 2022/23 spędził w Bielsku-Białej, gdzie 5-krotnie wystąpił w bramce pierwszoligowego Podbeskidzia. Po sezonie klub nie zdecydował się na przedłużenie współpracy i zawodnik trafił do Hutnika, gdzie w poprzednich rozgrywkach zaliczył 18 występów. Nim podjęto rozmowy z krakowskim klubem, Rekord sondował możliwość sprowadzenia Michała Budziłka z Motoru Lublin i Karola Dybowskiego, który kilka dni temu związał się ze Stalą Mielec.

(gru)

Nie ma winnych?

W sprawie skandalicznych wydarzeń na boisku Lotu Konopiska głos zabrał prezes tego klubu, Rafał Jezierski.

Informowaliśmy już o skandalicznych wydarzeniach, które miały miejsce podczas meczu klasy okręgowej Lot Konopiska – Unia Kalety. Zawody zostały przerwane na początku drugiej połowy, gdy 25-osobowa grupa „kibiców" wbiegła na boisko. Kilku z nich miało kominiarki w kolorze czerwono-niebieskim, inni zasłonili twarze koszulkami. Wedle relacji świadków, fani gości mieli na sobie barwy Ruchu Chorzów, a sympatycy klubu z Cichej „mają na pieńku" z kibicami Rakowa Częstochowa. Potwierdzenia tej teorii nie usłyszeliśmy od świadków, jednak kolorystyka kominiarek, w jakich napastnicy wbiegli na boisko i trybuny, jest zgodna z barwami Rakowa. Klub z Limanowskiego wydał oświadczenie w tej sprawie. „Nasz stadion oraz obiekty klubów filialnych mają być miejscami przyjaznymi dla całych rodzin. To nasz priorytet, co potwierdzają fakty, że na mecze przy Limanowskiego przychodzi coraz więcej kobiet z dziećmi (...). W związku z faktem, że nie byliśmy organizatorami wspomnianego wydarzenia, nie jesteśmy w stanie zweryfikować tożsamości osób biorących udział w spotkaniu. Nie możemy tym bardziej potwierdzić, czy byli to kibice Rakowa Częstochowa".

Władze Gminy Konopiska, w osobie wójta Artura Brędzela, także wydały oświadczenie. Potępiają zachowanie, jakie zaistniało w czasie spotkania oraz wskazują, że będą współpracować z organami zajmującymi się tą sprawą. Chodzi także o policję. Od jednego ze świadków usłyszeliśmy, że ta została wezwana, jednak miała nie pojawić się na miejscu zdarzenia.

Do sobotniego zdarzenia ustosunkowały się również władze Lotu. „Drodzy sympatycy piłki nożnej w naszym regionie oraz kibice, zawodnicy i trenerzy klubu Lot Konopiska. Chciałbym za pośrednictwem naszej strony internetowej podzielić się z Wami spostrzeżeniami, wnioskami i ustaleniami, jakie powstały po dramatycznych zajściach na stadionie Lotu w dniu 31 sierpnia 2024 roku podczas meczu ligowego z Unią Kalety. Osoby, które wtargnęły na płytę stadionu i zaatakowały kibiców drużyny przyjezdnej w żadnym, najmniejszym nawet stopniu, nie są związane z naszym klubem. Ich skandaliczne zamiary i późniejsze działania były nie do przewidzenia - mówimy przecież o meczu na szczeblu ligi okręgowej w Konopiskach, gdzie frekwencja jest niska. Osoby przebywające na naszych meczach to zazwyczaj działacze, sympatycy, rodzice i znajomi zawodników oraz grupa młodych chłopców, która od pewnego czasu czynnie dopinguje nasz zespół oraz dba o oprawę podczas tych spotkań (swoją drogą dowiedziałem się, że są tak wystraszeni, iż na razie kończą swoje działania).

Na nasze mecze nie sprzedajemy biletów, bramka wejściowa jest otwarta i każdy zainteresowany może wejść na trybuny. Nigdy na naszym stadionie nie odnotowano bójek, a nawet najmniejszych incydentów, nigdy nie potrzebowaliśmy ochrony. Porządkowi to osoby wywodzące się ze struktur klubu, nieprzeszkolone, by walczyć z grupą kilkunastu agresorów i przyzwyczajone do rodzinnej atmosfery na naszych trybunach. Spokojna atmosfera popołudniowego meczu panowała również w sobotę. Chociaż frekwencja była większa niż zwykle, gdyż sympatycy Unii stawili się liczną grupą wspierających. Jeżeli byłyby jakiekolwiek przesłanki o nadchodzących tragicznych wydarzeniach, najpewniej wysłalibyśmy zgłoszenie do komisariatu Policji w Blachowni, ale naprawdę nic nie wskazywało na to, że w Konopiskach rozegrają się sceny grozy.


Fot. archiwum

Piłkarze obu zespołów byli załamani tym, co rozegrało się w Konopiskach.

Z tego miejsca chciałbym przeprosić wszystkie osoby znajdujące się na stadionie. Jest mi niezmiernie przykro, że narażono Wasze zdrowie fizyczne i psychiczne. Przepraszam działaczy, trenera, zawodników i kibiców Unii Kalety, sędziów prowadzących zawody, zawodników i trenera Lotu oraz naszych fanów. Przepraszam Was jako prezes klubu, na którego terenie rozegrały się te straszne sceny, ale nie klubu, który jest odpowiedzialny za ten atak. Jeszcze raz stanowczo podkreślam – Lot Konopiska nie ma nic wspólnego z tym aktem wandalizmu. Nie znam przyczyny ataku na kibiców Unii. Jestem wstrząśnięty tym wszystkim i mam nadzieję, że takie sceny już nigdy się nie powtórzą. Jestem w stałym kontakcie z policją, władzami gminy oraz władzami klubu, który jest podejrzany o to, że jego kibice wtargnęli na stadion. Wszyscy razem postaramy się, żeby sport zwyciężył!" – napisał Rafał Jezierski, prezes klubu z Konopisk.

(ptom)

Sport 72671dfeae



Fot. PAP/Polski Komitet Paralimpijski

Lucyna Kornobys lubi srebro, ale marzy o złocie.

Srebrny hat trick

Lucyna Kornobys wicemistrzynią paralimpijską w pchnięciu kulą w klasie F34!

Polka uzyskała odległość 8,33 m. To jej najlepszy wynik w sezonie i trzeci srebrny medal na trzecich kolejnych igrzyskach, po Rio de Janeiro i Tokio.

Polscy sportowcy w igrzyskach paralimpijskich w Paryżu spisują się wybornie. Praktycznie dzień w dzień przysparzają kibicom powodów do radości. We wtorek kapitalnie spisała się Lucyna Kornobys, startująca w pchnięciu kulą w kategorii F34. To oznacza, że jest przypięta do specjalnego siedziska, a sposób rozgrywania zawodów jest nieco inny, niż w zwykłych zawodach. Każda z zawodniczek swoje sześć prób ma jedna po drugiej, po czym dopiero wtedy na start trafia kolejna.

Polka startowała jako piąta. Znała więc wynik swojej największej rywalki, Chinki Zou Lijuan. By zdobyć medal, musiała pchnąć kulę dalej niż 9,14 m. Zadanie było karkołomne, bo nasza zawodniczka nigdy nie osiągnęła 9 m. W Paryżu też tego nie zrobiła. Jej najlepszy wynik to 8,33, co dało jej srebro. Podium uzupełniła Marokanka Saida Amoudi (7,80 m).

Kornobys po konkursie przyznała, że nie do końca była zadowolona ze swoich prób. – Może gdyby nie problem z zatokami, z którymi walczę od trzech dni, i cieknący nos, byłoby jeszcze lepiej. Po pierwszym pchnięciu trochę się wystraszyłam, że będzie źle i musiałam przemówić do siebie w paru ostrych słowach, które nie nadają się do cytowania. Czasami to na mnie działa i podziałało. Pozytywnie podziałał na mnie też niesamowity spokój mojego trenera, Michała Mossonia. Zapewnił mnie, że wszystko jest git, że będzie dobrze. Tego mi było potrzeba – relacjonowała dziennikarzom.

Dla Polki to trzecie paralimpijskie srebro z rzędu, po Rio de Janeiro i Tokio. – Marzy mi się to złoto – przyznała – ale trudno będzie dogonić Chinkę Zou, a już się pojawiła jej rodaczka, która nas naciska. Ale nie mam zamiaru się poddać, będę jeszcze więcej żelastwa przerzucać na treningi i zobaczymy. Mam zamiar sprawić, że Los Angeles 2028 będzie moje! – zadeklarowała.

Na koniec dodała, że medal dedykuje swojemu trenerowi, Michałowi Mossoniowi. – Tylko on wie, jak wiele pracy i trudu kosztował mnie ten krążek. Współpraca ze mną to 13 lat harówki. Z roku na rok ulepszamy technikę pchania, żeby tyłek się nie podnosił, żebym za mocno się nie spinała, bo odzywają się przepukliny i nie jestem w stanie funkcjonować, żebym wykonywała coraz lepsze ruchy. To srebro to jego wielka zasługa – podkreśliła.

Srebro Kornobys to nie jedyny medal zdobyty wczoraj przez naszych paralimpijczyków. Marek Dobrowolski wywalczył brąz w strzelaniu z karabinu dowolnego, trzy postawy, 50 metrów (klasa R7). Co najmniej srebrny medal zapewniła sobie tenisistka stołowa Natalia Partyka, pokonując w półfinale klasy WS10 Tajwankę Shiau Wen Tian 3:2 (11:6, 11:5, 8:11, 12:14, 11:8). Finał zostanie rozegrany w środę.

Srebra pewny jest również inny przedstawiciel tenisa stołowego, Patryk Chojnowski. W półfinale w kategorii MS10 pokonał 3:1 (11:8, 11:4, 9:11, 11:9) Francuza Mateo Boheasa. To jego drugi krążek w Paryżu. Poprzedni – złoty – wywalczył w deblu z Piotrem Grudniem w kat. MD18.

Pojedynek Chojnowskiego z Boheasem był formą rewanżu dla Francuza za finał poprzedniej paralimpiady. W Tokio Polak wygrał 3:0. Chojnowski w dorobku ma m.in. złoty medal w singlu zdobyty w igrzyskach paraolimpijskich w Londynie, zaś po srebro sięgnął w Rio de Janeiro.

Miejsce na podium zagwarantował sobie także kolejny pingpongista Rafał Czuper (MS2) po zwycięstwie nad Włochem Federico Crosarą 3:1 (11:6, 12:14, 11:3, 11:4).

(mic)

Nie ilość, a jakość!

Drużyna w tym sezonie będzie prezentowała ofensywny styl i kreowała grę – deklaruje dyrektor sportowy JKH GKS-u Jastrzębie, Leszek Laszkiewicz.

Jastrzębianie w swoim dorobku mają sześć medali mistrzostw Polski (złoty, dwa srebrne i trzy brązowe), ale dwa ostatnie sezony kończyli poza podium. Piąte i ostatnio czwarte miejsce nikogo w klubie nie zadowoliły. W zbliżających się rozgrywkach ma być lepiej i wszyscy skupieni wokół drużyny są o tym przekonani.

Spore zmiany

Działacze oraz trenerzy mieli sporo pracy w okresie letnim. Dokonano istotnych zmian w kadrze. Odeszło aż 17 zawodników, m.in. doświadczeni obrońcy Marcin Kolusz, Patryk Wajda, Arkadiusz Kostek czy Olli-Petteri Viinikainen. Z grona napastników zapewne będzie brakowało wychowanka Dominika Pasia, który zdecydował się na kontynuowanie kariery w konkurencyjnym GKS-ie Tychy. Do kadry trafiło natomiast 12 zawodników, w tym dwóch, Mark Kaleinikovas oraz Martin Kasperlik, którzy mieli okazję już reprezentować JKH GKS i to z dobrym skutkiem.

– Staraliśmy się stworzyć kadrę na miarę naszych możliwości budżetowych. O tym, jaką ma wartość, dowiemy się podczas sezonu – podkreśla dyrektor sportowy, Leszek Laszkiewicz. – Jasne, że wolelibyśmy wymienić dwa czy trzy ogniwa, ale nigdy tak nie jest. Wartość tej ekipy poznamy najwcześniej po pierwszych dwóch rundach. Generalnie chcieliśmy odmłodzić kadrę i to nam się udało. A ponadto proces budowy drużyny w porównaniu z poprzednimi latami był nieco inny. Zdecydowaliśmy na nieco węższą kadrę, ale chcieliśmy dodać jej jakości. I mam nadzieję, że to również nam się udało.

Siła w ofensywie

Sztab szkoleniowy solidnie pracował, by stworzona drużyna już od początku sezonu dobrze funkcjonowała. – Liczymy przede wszystkim, że zespół będzie prezentował ofensywny hokej, więcej jeździł, kreował grę – dodaje Laszkiewicz. – Stąd też powrót Kalenikovasa oraz Kasperlika, którzy w naszej drużynie byli czołowymi napastnikami. A ponadto obaj chyba nie mieli problemów z adaptacją w drużynie, bo przecież znali trenerów i wiedzieli, czego od nich oczekują. Ponadto dobrze prezentują się Finowie i na pewno zespół zyska na jakości. Mówię to na podstawie dotychczasowych meczów kontrolnych. Finowie na lodzie prezentują się niezwykle solidnie, potrafią się utrzymać przy krążku, kreują grę. Potrzeba czasu, by zespół odpowiednio funkcjonował, ale mogę solennie zapewnić, że będzie inny niż w latach poprzednich. I o jednym jestem przekonany: serducha na lodzie im nie zabraknie! Trener Kalaber od swoich zawodników wymaga pełnego zaangażowania i w tej kwestii nic się nie zmieniło.

Pięć zwycięstw

Zespół JKH GKS początkowo miał zaplanowanych osiem sparingów, ale potem starał się o dodatkowy z rezerwami Dynama Pardubice, który jednak ostatecznie został odwołany. Z siedmiu dotychczasowych pięć wygrał: z Porubą (4:3 po karnych), Hawirzowem (6:1), GKS-em Katowice (3:1), Frydkiem-Mistkiem (4:0) oraz Spartakiem Dubnica (6:1), zaś przegrał z Porubą (1:6) i Frydkiem-Mistkiem (2:4). Bilans bramkowy całkiem przyzwoity – 26:16. W najbliższy czwartek ostatni sprawdzian na własnym lodzie przed inauguracją ligową z Energą Toruń.

– Do meczów kontrolnych nie przywiązuję dużej wagi, bo trenerzy szukają optymalnych ustawień i jest spora rotacja w poszczególnych formacjach – przekonuje dyrektor sportowy. – Nie tak dawno przed sezonem wygrywaliśmy wszystko, a w lidze na początku mieliśmy serię porażek. Oczywiście wygrane są ważne, bo one budują mentalność drużyny. Pokazują nam też, czy idziemy we właściwym kierunku. Najważniejsze, by dobrze wystartować, bo liga zanosi się na niezwykle wyrównaną. Unia zbudowała najsilniejszą drużynę, ale też z myślą o Lidze Mistrzów, bo w Oświęcimiu mają ambicje pokazania się na arenie międzynarodowej. Na papierze wygląda to niezwykle okazale, ale ze swojego doświadczenia dodam, że same nazwiska nie grają.

Jastrzębianie zainaugurują TAURON Hokej Ligę we własnej hali z Podhalem Nowy Targ i będą faworytami. Jednak trzeba pamiętać, że rywalizacja o ligowe punkty to zupełnie inne rozdanie niż mecze kontrolne.

Włodzimierz Sowiński



Fot. Tomasz Kudala / PressFocus

Maciej Urbanowicz, kapitan ekipy z Jastrzębia, należy do najbardziej walecznych hokeistów w TAURON Hokej Lidze.

Sport 72671dfeae

Chińskie przetarcie

Koszykarze z Dąbrowy Górniczej zakończyli tournée po Państwie Środka.

Nietypowy sposób przygotowań do sezonu wybrali koszykarze MKS-u. Klub z Dąbrowy Górniczej otrzymał propozycję 12-dniowego tournée po Chinach. Rozegrał tam cztery mecze. Dwa razy rywalami były lokalne zespoły i te spotkania kończyły się wygranymi polskiej drużyny. Dwa razy też MKS grał z niemieckim Basketball Lowen Brunszwik. Ta drużyna występuje w Bundeslidze, w ostatnim sezonie zajęła dwunaste miejsce. Oba spotkania z Niemcami nasz zespół przegrał.

MKS latem przeszedł rewolucję. Kibice w nowych rozgrywkach zobaczą zupełnie nowy skład. Wymieniono przede wszystkich graczy z zagranicy. – Jesteśmy bardzo zadowoleni ze sposobu, w jaki zbudowaliśmy skład. To było pracowite lato z większą liczbą zmian niż się spodziewaliśmy, ale radzimy sobie z tym bardzo dobrze, pozyskując świetnych koszykarzy, ale przede wszystkim ludzi z prawdziwym charakterem. Budujemy większy i silniejszy zespół niż w zeszłym roku – komentuje trener Boris Balibrea.

W trakcie tournée okazało się, że predyspozycje do bycia liderem MKS-u ma Souley Boum. 25-letni rozgrywający debiutuje na Starym Kontynencie, wcześniej grał tylko w zespołach uczelnianych oraz w amerykańskiej G League w ekipie Grand Rapids Gold. W Chinach Boum spisywał się bardzo dobrze. W trzech z czterech spotkań był najlepszym strzelcem drużyny, rozdawał asysty, notował też zbiórki i przechwyty.

Wydaje się, że na pierwszoplanową postać wyrasta także Aleksander Załucki. 26-latek wrócił do Dąbrowy Górniczej po kilku latach - ostatnie sezony spędził w Stali Ostrów Wielkopolski i nabrał dużej pewności siebie. W Chinach był jednym z najlepszych graczy MKS-u. W ostatnim spotkaniu z Guangdong Tigers bombardował kosz rywali trójkami, trafił 6 razy zza łuku przy znakomitym procencie skuteczności.

Podczas azjatyckiego tournée z dobrej strony pokazał się również Mattias Markusson. Potężny środkowy ze Szwecji to niewątpliwie ważny element dąbrowskiej układanki. Pod koszami był dużym wyzwaniem dla centrów przeciwnika. Także sprowadzony latem Adam Łapeta powinien być solidnym wzmocnieniem. 36-letni gracz trafił do zagłębiowskiej drużyny z PGE Spójni.

Niejasna jest sytuacja z Demetrikiem Hortonem. Amerykanin nabawił się urazu i w Chinach zagrał tylko w pierwszym meczu.

W ostatniej chwili do zespołu dołączył 22-letni skrzydłowy z Francji Ibrahim Magassa. To dość nietypowy kontrakt. Zawodnik ma być testowany przez dwa miesiące, dopiero potem okaże się, czy zostanie do końca sezonu. Magassa jako 18-latek zadebiutował w hiszpańskiej lidze ACB w barwach Realu Betis, ale zaraz potem jego karierę przerwała poważna kontuzja kolana. Teraz jest po okresie rehabilitacji i próbuje wrócić do gry.

„Będzie nas mocno wspierał w przedsezonowych treningach, lecz nie zmienia to faktu, iż nie ustajemy w staraniach na rzecz pozyskania zawodnika na pozycję silnego skrzydłowego ”- informuje klub.

W Chinach Magassa zagrał w czterech meczach, punktował w dwóch, zdobył w sumie 12 oczek.

Koszykarze jeszcze w tym tygodniu wrócą do Polski. Otrzymają kilka dni wolnego na regenerację. – Będziemy tego potrzebować po bardzo intensywnych 12 dniach, czterech meczach i dwóch długich podróżach – mówi trener Balibrea.

WYNIKI MKS-U W CHINACH:

- MKS Dąbrowa Górnicza - Basketball Lowen Brunszwik 80:85
MKS: Boum 24, Załucki 16, Łapeta 10, Markusson 8, Magassa 7, Horton 5, Hook 4, Piechowicz 4, Kucharek 2, Stryjewski.
- Beijing Ducks - MKS Dąbrowa Górnicza 69:77
MKS: Kucharek 17, Załucki 15, Boum 13, Hook 11, Markusson 6, Magassa 5, Piechowicz 4, Łapeta 4, Stryjewski 3, Szefler.
- Basketball Lowen Brunszwik - MKS Dąbrowa Górnicza 98:73
MKS: Boum 18, Załucki 15, Markusson 11, Hook 11, Łapeta 7, Piechowicz 5, Szefler 4, Kucharek 2, Magassa, Stryjewski.
- Guandgong Tigers - MKS Dąbrowa Górnicza 70:72
MKS: Boum 20, Załucki 20, Markusson 18, Łapeta 8, Hook 5, Piechowicz 1, Szefler, Magassa, Stryjewski.

(pp)



Fot. MKS Dąbrowa Górnicza

W Chinach MKS wygrał dwa z czterech spotkań.



Fot. Marcin Bulanda / PressFocus

Aleksander Balcerowski po trudnym sezonie w Grecji teraz zagra w Hiszpanii.

Balcerowski wraca do Hiszpanii

Niespodziewany transfer reprezentacyjnego środkowego.

Unicaja Malaga w poniedziałek wieczorem na swojej stronie internetowej poinformowała, że jej nowym zawodnikiem został środkowy reprezentacji Polski. „Olek Balcerowski, talent i przyszłość w Maladze. Bienvenido, Olek!" – napisano.

Balcerowski podpisał dwuletnią umowę z możliwością przedłużenia na trzeci rok.

O takim rozwiązaniu informowaliśmy już w czerwcu. Wtedy wydawało się niemal pewne, że nasz center trafi właśnie do Malagi. 23-letni środkowy reprezentacji miał za sobą bardzo dziwny sezon – z jednej strony zdobywał trofea w barwach Panathinaikosu (m.in. mistrzostwo Euroligi), z drugiej jednak w kluczowych meczach głównie siedział na ławce rezerwowych.

Hiszpańskie media informowały o przesądzonym transferze do Baloncesto Malaga, ale wtedy mierzący 213 centymetrów gracz został w stolicy Grecji. Niespodziewanie transfer zablokował Panathinaikos. „Trener Ergin Ataman wierzy, że w swoim drugim sezonie Polak lepiej zaadaptuje się do wymagań stawianych przez niego i rozgrywki Euroligi" – pisał wtedy jeden z greckich dzienników.

Okazało się, że Panathinaikos szuka środkowego, a Polaka zatrzymał sobie na wszelki wypadek. Gdy klub z Aten uzupełnił Turek Omer Faruk Yurtseven, nasz zawodnik dostał wolną rękę od szkoleniowca. Balcerowski wrócił do wcześniejszych rozmów z Malagą i błyskawicznie doszło do porozumienia.

Unicaja wygrała ostatnie rozgrywki Ligi Mistrzów. W finale pokonała Lenovo Teneryfa 80:75.

Polak ma już za sobą występy w hiszpańskiej lidze ACB. Jest wychowankiem Górnika Wałbrzych, ale w 2014 roku został zawodnikiem CB Gran Canaria. Na Wyspach Kanaryjskich początkowo grał w rozgrywkach juniorskich, ale po kilku latach zadebiutował w pierwszym zespole. Debiut wypadł przeciw Realowi Madryt (3 grudnia 2017 roku), Polak był na boisku blisko 90 sekund i zaliczył w tym czasie zbiórkę. W ten sposób został najmłodszym w historii klubu z Wysp Kanaryjskich koszykarzem, który wystąpił w ligowym spotkaniu (miał wówczas 17 lat i 14 dni).

Balcerowski nie jest pierwszym naszym zawodnikiem, który zagra w barwach ekipy z Malagi. Wcześniej występowali w niej Michał Chyliński (2006/07), Thomas Kelati (2008/09) i Adam Waczyński (2016-2021).

Balcerowski jest podstawowym zawodnikiem reprezentacji Polski. Był najmłodszym uczestnikiem mistrzostw świata w 2019 roku w Chinach. Reprezentacja Polski prowadzona przez Mike Taylora awansowała wtedy do najlepszej ósemki mundialu.

(pp)

Wygrane Tychów i Polonii

Za nami seria kolejnych meczów sparingowych.

Nie próżnują drużyny I i II ligi. GKS Tychy wygrał turniej rozgrywany we własnej hali. W finale pokonał drużynę Sokoła Łańcut, która jeszcze w poprzednim sezonie grała w ekstraklasie. Najlepszym zawodnikiem spotkania był Sebastian Bożenko, zdobywca 23 punktów.Tomasz Śnieg, były gracz GTK Gliwice, zanotował 10 asyst.

Natomiast nieudanie wypadł pierwszy sparing KKS Zagłębia, beniaminka II ligi. Sosnowiczanie przegrali u siebie z KKS-em Tarnowskie Góry. Z kolei Polonia wygrała w Opolu. Bytomianie ograli tam AZS Weegree Politechnikę Opolską, a najskuteczniejsi byli Bartosz Wróbel i Jarosław Giżyński. W środę Polonia pojedzie do Łodzi, gdzie zagra mecz kontrolny z ŁKS-em.

- **GKS Tychy - Muszynianka Sokół Łańcut 99:78 (19:22, 23:16, 28:19, 29:21)**
GKS: Bożenko 23, Szmit 19, Duda 14, Walski 12, Piliszczuk 7, Śnieg 6, Zmarlak 6, Lis 6, Dawdo 2, Heliński 2, Dudka 2, Damek.
- **AZS Weegree Politechnika Opolska - BS Polonia Bytom 71:80 (22:15, 21:23, 15:24, 13:18)**
Polonia: Wróbel 16, Giżyński 15, Medes 13, Bogdanowicz 10, Zub 9, Krawiec 9, Wąsowicz 5, Kubiak 2, Piechowicz 1.
- **KKS Zagłębie Sosnowiec - KKS Tarnowskie Góry 73:80**

(pp)

Sport 72671dfeae

Gotowi na wyzwanie

Aaron Russel i Kyle Ensing mają za sobą debiut w „Jurajskich rycerzach". W klubie czekają już tylko na Mateusza Bieńka.

ALURON CMC WARTA ZAWIERCIE

Michał Winiarski, trener ekipy z Zawiercia, ma coraz większy komfort pracy. Do zespołu wreszcie dołączyli brązowi medaliści igrzysk olimpijskich w Paryżu, Aaron Russel i Kyle Ensing. Amerykanie zdążyli już nawet zadebiutować w nowych barwach. Wystąpili w drugim sparingu z mistrzem Niemiec, Berlin Recycling Volleys (3:0). Spotkanie odbyło się w Arenie Sosnowiec, bo właśnie w tym obiekcie zawiercianie będą występować w roli gospodarza w Lidze Mistrzów. Nowi gracze debiut mogą uznać za udany. Błyszczał zwłaszcza Ensing. Atakujący był najskuteczniejszy w zespole, zdobył 13 punktów (12 atakiem i jeden blokiem). Russel, choć to on jest większą gwiazdą, tak skuteczny nie był. Zagrał dwa sety. Przyjmował bardzo dobrze, bo na poziomie 67 proc., ale miał problemy ze skutecznością. Skończył zaledwie osiem ataków na 22. Ze swojej postawy był zadowolony, choć zdawał sobie sprawę ze swoich słabości. – Świetnie czuję się w nowych barwach. Atmosfera, mimo że to tylko mecz towarzyski, była naprawdę cudowna. Jestem bardzo podekscytowany, że mogę być częścią tego zespołu. Po prostu znów wyjść na boisko, grać z chłopakami, złapać trochę porozumienia z nimi... – tłumaczył Aaron Russell. – Oczywiście widzę też rzeczy, nad którymi muszę popracować i poprawić je przed rozpoczęciem sezonu – dodał. Amerykanin zapewnił, że zdążył odpocząć po wyczerpującym sezonie reprezentacyjnym. – Jestem zdecydowanie gotowy do gry, choć było trudno się zregenerować po igrzyskach. To bardzo długi i trudny mentalnie turniej, ale miałem trochę czasu w domu, spędziłem go z rodziną. Teraz jednak nadszedł czas, aby iść dalej – podkreślił.


Aaron Russel ma potencjał, by w Zawierciu nie musieli tęsknić za Trevorem Clevenot.
Fot. Łukasz Laskowski/PressFocus

Z grą Russella w Zawierciu wiążą ogromne nadzieje. Liczą, że będzie czołową postacią zespołu i z powodzeniem zastąpi Francuza Trevora Clevenota. 31-latek ma odpowiedni potencjał, umiejętności i doświadczenie, co potwierdzają jego liczne sukcesy. Jest jedną z największych gwiazd amerykańskiej reprezentacji. W 2016 roku został nawet wybrany najlepszym przyjmującym turnieju olimpijskiego w Rio de Janeiro. Russell to dwukrotny brązowy medalista olimpijski, brązowy medalista mistrzostw świata i trzykrotny srebrny medalista Ligi Narodów.

Jego przyjście do Aluron CMC Warty okrzyknięto jednym z najważniejszych ruchów transferowych tego lata w PlusLidze. Ensing natomiast wraz z Karolem Butrynem ma stworzyć najlepszy w lidze duet atakujących.

Dodajmy, że Aluron CMC Warta jest ich pierwszym polskim klubem. Europejską siatkówkę znają jednak na wylot. Ten pierwszy poprzednie sezony spędził w Berlin Recycling Volleys (2019/20), Maccabi Tel Awiw (2020-22) i ostatnio w Saint-Nazaire. W każdym z tych klubów odnosił sukcesy. Jest zdobywcą Superpucharu i Pucharu Niemiec, dwukrotnym mistrzem Izraela oraz mistrzem Francji. Russell z kolei większość kariery spędził we Włoszech. Występował w Sir Safety Perugia, Itas Trentino oraz Gas Sales Piacenza. Do Zawiercia trafił jednak z japońskiego JT Thunders. Obaj siatkarze nie ukrywają chęci sprawdzenia się w naszej lidze. – Jestem bardzo podekscytowany grą w PlusLidze. To jest właśnie to, co znów mnie nakręca, gra na tak wysokim poziomie – zapewnił Russel. – Jestem naprawdę podekscytowany faktem, że będę mógł grać w polskiej lidze. To jedna z najlepszych lig na świecie – dodał Kyle Ensing.

W Zawierciu czekają już tylko na dołączenie do drużyny Mateusza Bieńka. Z reprezentacyjnym środkowym jest jednak kłopot. W ćwierćfinale turnieju olimpijskiego nabawił się kontuzji lewej stopy, która wyeliminowała go z dalszej gry. Z podobnym urazem mierzył się już przed rokiem, ale wtedy była to druga stopa. Przerwa trwała kilka miesięcy. Obecnie siatkarz przechodzi leczenie i wszyscy liczą, że będzie krótsze niż w poprzednim roku.

(mic)

Celują w finały

Lepszego miejsca do gry niż Jastrzębie nie mogłem sobie wymarzyć – stwierdził Łukasz Kaczmarek, nowy atakujący mistrzów Polski.

JASTRZĘBSKI WĘGIEL

Dla reprezentacyjnego atakującego jastrzębski klub jest czwartym w karierze. Zaczynał w Victorii Wałbrzych, potem był Cuprum Lubin i od 2018 roku Grupa Azoty ZAKSA Kędzierzyn-Koźle. Czas spędzony w tym ostatnim był bardzo owocny. Kaczmarek stał się w nim jednym z najlepszych atakujących w kraju, przebojem wdzierając się do reprezentacji Polski. Kolekcjonował też sukcesy. Trzykrotnie zdobył Puchar Europy, dwukrotnie mistrzostwo Polski czterokrotnie puchar kraju i trzykrotnie Superpuchar Polski.

Ostatnie rozgrywki nie były dla ZAKSY, a co za tym idzie i dla tego siatkarza, tak udane. Zmagał się z kontuzją i problemami mentalnymi. W efekcie po zakończeniu sezonu postanowił poszukać nowego wyzwania. Przyjął ofertę Jastrzębskiego Węgla, w którym zastąpił Jeana Patry'ego. – Pierwsze wrażenie naprawdę świetne. Wiele razy byłem w tej hali i wiele razy tutaj przyjeżdżałem, ale teraz jestem w niej w kompletnie innej roli. Atmosfera jest wspaniała. Wszyscy są przyjaźni, mili... Lepszego miejsca do gry niż Jastrzębie nie mogłem sobie wymarzyć – stwierdził Łukasz Kaczmarek po pierwszych treningach w nowym zespole.

Do drużyny dołączył, jak inni kadrowicze, później. Musiał bowiem odpocząć po wyczerpującym sezonie reprezentacyjnym, zwieńczonym olimpijskim srebrem. – Rozmawiając tuż po zakończeniu igrzysk, stwierdziliśmy, że z dnia na dzień ten medal będzie dla nas znaczył coraz więcej i każdy go doceni. I faktycznie tak jest. To dla nas coś wspaniałego. Bardzo się cieszymy z tego medalu, bo olimpijskiego krążka brakowało wielu z nas w swojej przygodzie z siatkówką. Tego medalu brakowało jednak przede wszystkim kibicom. Wiemy bardzo dobrze, jak długo na niego czekaliśmy. Jest on wyjątkowy – podkreślił nowy atakujący Jastrzębskiego Węgla.


Łukasz Kaczmarek z ZAKSĄ trzykrotnie sięgał po Pucahr Europy. Teraz chce to zrobić z Jastrzębskim Węglem.
Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Kaczmarek ma świadomość, jakie są oczekiwania wobec drużyny i jego samego w Jastrzębiu. – Zdajemy sobie sprawę z tego, jakie cele są stawiane przed nami. Są to cztery finały. Za niedługo mamy pierwszy z nich, czyli Superpuchar. Obecnie to jest nasz cel. Potem są liga, Puchar Polski i Liga Mistrzów – wymienił siatkarz. – Chcemy je wygrać. Marzy mi się, żeby z tą drużyną wejść do finału Ligi Mistrzów i przywieźć do Jastrzębia złoty medal – dodał.

Jastrzębianie w dwóch ostatnich edycjach Ligi Mistrzów dochodzili do finału, ale w decydującej rozgrywce przegrali najpierw z ZAKSĄ, a następnie włoskim Itasem Trentino.

Spotkanie o Superpuchar Polski zostanie rozegrane w środę, 25 września, w katowickim Spodku. Sezon ekstraklasy rusza z kolei w piątek, 13 września. Jastrzębianie rozgrywki zainaugurują dzień później starciem z Barkom Każany Lwów.

(mic)

Sport 72671dfeae

Zwycięski start „Niebieskich”

Chorzowianki pokonały 5. drużynę ubiegłego sezonu. To był popis gry i charakteru zespołu trenera Ivo Vavry.

Inauguracyjne spotkanie wracającego po rocznej banicji do elity żeńskiej piłki ręcznej chorzowskiego Ruchu z Piotrcovią transmitował Polsat. Niezrażone obecnością kamer „Niebieskie” już w 30 sekundzie objęły prowadzenie, po 10 minutach było 6:3, a po kwadransie ich przewaga sięgała już 5 bramek (9:4). Doskonale w ich bramce spisywała się Kaja Gryczewska, dobrze liderowała Marta Gęga, skuteczne były Polina Masałowa na lewym rozegraniu i Patrycja Wiśniewska na prawym skrzydle. Chorzowianki bardzo dobrze radziły sobie też w obronie i nie popełniały niewymuszonych błędów. U piotrkowianek wynik „ciągnęła” skuteczna Patrycja Królikowska i w 28 minucie przewaga Ruchu stopniała do 3 trafień (14:11). W końcówce pierwszej odsłony przewaga „Niebieskich” wróciła do stanu +5, a ostatnią bramkę rzuciła Anastasia Bondarenko, pewnie wykorzystując rzut karny. Taki wynik zwiastował wielkie emocje także po przerwie.

Druga połowa zaczęła się od dwóch skutecznych rzutów Silvie Polaskovej, a mogło być jeszcze lepiej dla piotrkowianek, ale Gryczewska obroniła rzut karny Arciszewskiej. Przy stanie 19:13 (36 minuta) o czas poprosił zdenerwowany trener Horatiu Pasca. Po 10 minutach drugiej połowy Ruch prowadził różnicą sześciu goli 21:15, a potem 22:17 (44 min). W 47 minucie o czas poprosił z kolei Ivo Vavra (23:19), ponieważ „Niebieskie” zgubiły skuteczność. Na szczęście dla nich wciąż bardzo dobrze radziła sobie Masałowa, ale Piotrcovia także wrzuciła wyższy bieg (25:22 w 50, 27:24 w 54). W 55 minucie swoją pierwszą bramkę dla Ruchu rzuciła Kinga Hajnos (28:24), a potem czerwoną kartkę - przy stanie 29:25 - zobaczyła Lucyna Sobecka. Beniaminek był tylko o krok od sprawienia wielkiej niespodzianki na inaugurację, ale za moment na ławkę kar powędrowała Gęga. Końcówkę meczu kibice oglądali na stojąco. Na 78 sekund przed końcem o czas poprosił trener Vavra, bo zwycięstwo zaczęło „odjeżdżać” jego mocno już zmęczonym podopiecznym (30:28). Na minutę przed końcem Gryczewska znakomicie zatrzymała Królikowską, bramkę zdobyła jeszcze Katarzyna Wilczek i „Niebieskie” mogły szaleć z radości.



Fot. Norbert Barczyk/PressFocus

Polina Masałowa zapracowała na miano MVP meczu z Piotrcovią.

Zbigniew Cieńciała

KPR Ruch Chorzów - MKS Piotcovia 31:29 (16:11)

RUCH: K. Gryczewska, Fornalczyk, Ciesiółka - Wiśniewska 7, Bondarenko 3/2, Gęga, Wilczek 4, Masałowa 9, Doktorczyk 4, Jasińska, Hajnos 1, Iwanowicz 3, Diablo, M. Gryczewska, Rejdych, Widuch. Kary: 10 min. Trener Ivo VAVRA.

PIOTRCOVIA: Sarnecka, Suliga - Gadzina 1, Noga 3, Radushko 1, Mielewczyk, Polaskova 3, Królikowska 6, Grobelna, Mokrzka, Domagalska 5, Arciszevskaja 6/2, Sobecka 3 (CZK, 55 min - gradacja kar), Waga 1. Kary: 12 min. Trener Horatiu PASCA.

1. Zagłębie	1	3	35:14
2. Kobierzyce	1	3	30:27
3. Ruch	1	3	31:29
3. Gniezno	1	2	34:34
4. Start	1	1	34:34
5. Piotrcovia	1	0	29:31
6. Koszalin	1	0	27:30
7. Kalisz	1	0	14:35
Lublin	-	-	-
Sośnica	-	-	-

2. seria, 11-15 września: Piotrcovia - Zagłębie, Kobierzyce - Ruch, Kalisz - Lublin, Sośnica - Start, Koszalin - Gniezno.

Koncentracja na maksa

Do Lubina jedziemy odbudować się i zagrać dobre, mocne oraz skuteczne zawody – podkreśla trener Górnika Zabrze, Tomasz Strząbała.

Błyskawiczne tempo narzuciły męskim klubom władze Superligi. Ledwo co zakończyła się inauguracyjna seria, a już przychodzi po raz drugi wybiec na boiska. W weekend z kolei walki o punkty nie będzie, a jedynie mecz o Superpuchar Polski w Łodzi, gdzie spotkają się Orlen Wisła Płock i Industria Kielce.



Fot. Krzysztof Kuroń/Górnik Zabrze

W Zabrzu liczą na poprawę skuteczności i to nie tylko Krzysztofa Komarzewskiego.

Obrona do poprawy

W Zabrzu rozczarowanie, bo „górnicy” rozpoczęli rozgrywki od niespodziewanej porażki (29:30) z Azotami Puławy, choć momentami byli 5 trafień na plusie. – Zasada jest prosta – jeśli dasz przeciwnikowi szansę na zwycięstwo, to ją wykorzysta, tym bardziej kiedy nie ma nic do stracenia. Ale to nie jest problem. Problemem jest 30 straconych bramek. Gdy w zeszłym sezonie traciliśmy ich 24, to już było dużo i defensywa była naszą siłą. Obecnie niby mamy mocniejszą obronę, a w każdym meczu tracimy po 30 bramek. To jest nasz błąd i nad jego wyeliminowaniem dalej musimy pracować – analizował przyczyny porażki trener Tomasz Strząbała.

Zawiodła skuteczność

Bardzo realny wydaje się scenariusz, w którym po trzech meczach u siebie Górnik nie będzie miał punktów, bo jego kolejnymi przeciwnikami będą wicemistrz i mistrz Polski. – Kielczan podejmiemy 15 września, a oni po drodze mają Superpuchar Polski i Ligę Mistrzów z Zagrzebiem. O Kielcach i Płocku będziemy jednak myśleć za jakiś czas. Teraz ważne, żeby w Lubinie się odbudować. Zagrać dobre, mocne i skuteczne zawody – podkreśla szkoleniowiec zabrzan, dodając, że jest po szczerej rozmowie z zespołem. – Przeanalizowaliśmy sobie, co było dla nas najgorsze w meczu z Azotami, a był nim brak skuteczności w drugiej połowie. Przestrzeliliśmy za dużo sytuacji sam na sam, których było 12, więc z Wojciechem Boruckim, broniącym na poziomie 48 procent, przegraliśmy mecz. My też mamy bardzo dobrych bramkarzy, choć w tym meczu bronili w granicach 26 procent. Jeżeli zawodnicy nadal będą nieskuteczni, nie będą trafiać z 6 metrów, to korzystnych wyników nie będziemy mieli. Brak skuteczności zadecydował o porażce, ale to już sobie powiedzieliśmy i koncentrujemy się na meczu z Zagłębiem.

ORLEN SUPERLIGA MĘŻCZYZN

Środa, 4 września
LUBIN, 18.00: MKS Zagłębie – Górnik Zabrze
KIELCE, 18.00: Industria – Rebud KPR Ostrovia Ostrów Wlkp.
KALISZ, 18.00: Energa MKS – Wybrzeże Gdańsk
LEGIONOWO, 20.00: Zepter KPR – Energa MMTS Kwidzyn
WROCŁAW, 20.00: WKS Śląsk – MKS Piotrkowianin
PŁOCK, 20.30: Orlen Wisła – KGHM Chrobry Głogów
Czwartek, 5 września
OPOLE, 20.30: Gwardia – Azoty Puławy

CZY WIESZ, ŻE...

■ Poniedziałek był normalnym dniem pracy, a „górnicy" skorzystali z gościnności hali Olimpii w Piekarach Śląskich, ponieważ w obiekcie przy Wolności zakładano nowe podłoże. We wtorek zajęcia odbyły się już u siebie, a wyjazd do Lubina zaplanowano w dniu meczu, bo to tylko trzy godziny autokarem.

Niewygody rywal

Trener Strząbała podkreślił, że każdy sam musi siebie rozliczyć. Duża rotacja w składzie i nowy system, nad którym jego podopieczni pracowali latem – to wszystko potrzebuje czasu. Ma jednak nadzieję, że już dziś gra jego zespołu będzie wyglądała inaczej. Przypomina, że Zagłębie jest niewygodnym zespołem, choć w poprzednim sezonie Górnik dwa razy je pokonał. – To już historia – akcentuje zabrzański szkoleniowiec. – Zagłębie dobrze i skutecznie zagrało w 1. kolejce w Ostrowie Wielkopolskim, przegrywając dopiero po karnych. „Miedziowi” prezentują zupełnie inny system niż Puławy i wysokiej obrony raczej się nie spodziewamy. Mocni, rośli chłopcy będą bronili w ustawieniu 6-0. Do Zagłębia wrócił Jarosław Hipner, który swoją charyzmę mocno wlał w zespół i solidnie przygotował go do sezonu. Ma do dyspozycji przede wszystkim bramkarza Marcina Schodowskiego i rozgrywającego Pawła Krupę, który zawsze gra bardzo mocno, do końca. To są liderzy zespołu z Lubina.

Zbigniew Cieńciała

Drugi raz Urbana

Trener piłkarzy Górnika Jan Urban symbolicznie rozpoczął inauguracyjne spotkanie z Azotami Puławy. – Zapraszałem Janka do nas od... trzech lat – zdradził dyrektor zabrzańskiego klubu, Dariusz Czernik. Na meczach szczypiornistów często bywają piłkarskie ikony, jak Stanisław Oślizło czy Ryszard Cyroń. Natomiast w niedzielę niemal cała drużyna piłki ręcznej gościła przy Roosevelta, oglądając mecz z Lechią Gdańsk. Weekend nie był jednak udany dla obu drużyn Górnika, gdyż przegrały jedną bramką.
– Na piłce ręcznej byłem drugi raz – mówił Jan Urban, pytany o wrażenia. – Pierwszy raz przed laty w Niemczech, gdzie kończyłem powoli karierę, czyli blisko 30 lat temu. Świetnie się to ogląda. Tempo, dynamika, piękne bramki, wynik niepewny do ostatniej akcji... W przerwie żartowaliśmy z Darkiem Czernikiem, że fajnie by było, gdybyśmy w niedzielę prowadzili z Lechią do przerwy „piątką". I co? W ręcznej nawet taka przewaga nie daje gwarancji wygranej, choć byłem przekonany, że Górnik sobie poradzi. Podziwiam bramkarzy. Wydaje się, że nie można obronić rzutu z 7-8 metrów oddanego przez faceta mierzącego blisko 2 metry. A jednak... Myślę, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Oby następnym razem było lepiej.

Sport 72671dfeae



Fot. PZPC

„Rodzinne" zdjęcie uczestników 29. Memoriału Waldemara Malaka; w środku klęczy jego triumfator, Rewaz Dawitadze.

Waldek na pewno by się cieszył

Jeżeli spośród czternastu startujących pięciu przekracza 400 punktów, a trzech kolejnych się o nie „ociera", to możemy mówić o zawodach na światowym poziomie.

Bardzo lubię tu przyjeżdżać. Zawsze mam świetny hotel, pyszne jedzenie, odnowę biologiczną, a przede wszystkim świetne warunki do rozgrzewki i startu. Do tego dochodzi liczna i żywiołowo reagująca publiczność, która dodaje energii. Osiągnąłem tu bardzo dobry wynik, z czego niezmiernie się cieszę, za co zostałem sowicie nagrodzony. Mam nadzieję, że to nie był mój ostatni występ w tej hali - powiedział krótko po zejściu z pomostu Gruzin Rewaz Dawitadze, który okazał się najlepszym sztangistą 29. Memoriału Waldemara Malaka w Gdańsku.

Dyplom dla dyrektora

W hali miejscowego Atlety startował przed dwoma laty, depcząc po piętach swojemu rodakowi, Laszy Tałachadze, ale... - Lasza był wtedy poza zasięgiem, a jego występ wzbudził olbrzymie zainteresowanie. Gdyby przyjechał w tym roku, pewnie jeszcze więcej ludzi przyszłoby zobaczyć trzykrotnego mistrza olimpijskiego. Ja wtedy byłem drugi i w dwuboju uzyskałem 362 kg. Tym razem „złożyłem" 11 kg więcej i wygrałem - dodał 26-letni sztangista z Tbilisi, dzierżąc okazały puchar i kopertę z 3000 euro. O wysokie jak na tę dyscyplinę sportu nagrody zadbał jak zawsze Lech Labudda, prężenie działający przedsiębiorca, szef firmy „Labar", która jest jednym ze sponsorów Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów, dyrektor MKS-u Atleta i sędzia klasy międzynarodowej. On również promieniał z radości. - Spodziewałem się ciekawych zawodów, ale nie liczyłem, że aż tylu zawodników przekroczy 400 punktów według współczynnika Sinclaira. Można powiedzieć, że impreza stała na wysokim poziomie - stwierdził dyrektor Labudda, który - w podziękowaniu za to co robi dla polskich i europejskich ciężarów - uhonorowany został dyplomem uznania, a wręczył mu go sekretarz generalny Europejskiej Federacji Podnoszenia Ciężarów, Milan Mihajlović. Podobny grawerton otrzymał też Waldemar Gospodarek, prezes PZPC. Wizyta Serba nie była przypadkowa, gdyż przed, w trakcie i po zawodach można było omówić stan przygotowań do mistrzostw Europy do lat 20 i 23, które pod koniec października odbędą się w Raszynie. W rozmowach uczestniczył też inny gość honorowy zawodów, Petr Krol. Czech jest obecnie wiceprezydentem Międzynarodowej Federacji Podnoszenia Ciężarów i przed laty miał okazję poznać Waldemara Malaka. W 1992 roku na igrzyskach w Barcelonie startował bowiem w tej samej kategorii (100 kg) co patron turnieju. Żywiołowo i widowiskowo dźwigający Polak stał się ulubieńcem tamtejszej publiczności i zdobył brązowy medal, a Czech musiał się zadowolić 12. miejscem.

Żal „życiówki"

Wracając do zwycięzcy, należy podkreślić, że Dawitadze przez rwanie przeszedł „suchą stopą", a zaliczając 165, 170 i 173 kg - jako jedyny - przekroczył 200 pkt (201,3). To mu otworzyło drogę do głównej premii, a nawet pozwoliło zaatakować rekord życiowy. - Szkoda, że nie dało mi się podrzucić 205 kg, ale w tym roku są jeszcze mistrzostwa świata, więc może na nich się poprawię - uśmiechnął się wielokrotny medalista ME i MŚ.

Dawitadze wygrał ze sporą przewagą, a bardziej zacięta była rywalizacja o 2. (2000 euro) i 3. (1000 euro) miejsce. Minimalnie lepszy okazał się Zaza Lomtadze, który - jeśli wszystko dobrze pójdzie - może zostać następcą wspomnianego Tałachadze; ma dopiero 22 lata i już dźwiga przyzwoicie. Najlepszym bardzo chciał dorównać Patryk Sawulski, jeden z dwóch Polaków startujących w tych zawodach. Bolały go plecy, stąd zaliczył tylko trzy podejścia, ale do ME w Raszynie ma jeszcze trochę czasu i pod wodzą Zdzisława Farasia, nowego trenera reprezentacji seniorów oraz młodzieżowców, jest w stanie poprawić osiągnięcia.

- Waldek pewnie by się cieszył, gdyby oglądał te zawody... W przyszłym roku odbędzie się 30. edycja i już się zastanawiam nad przygotowaniem czegoś specjalnego - uśmiechnął się Lech Labudda, mając oczywiście na myśli uczestników z jeszcze głośniejszymi nazwiskami. Oby polskie ciężary zdołały się odbudować i w memoriale wystąpili zawodnicy, którzy nawiążą równorzędną walkę z czołówką...

Marek Hajkowski

3 MEDALISTÓW olimpijskich wzięło udział w gdańskich zawodach. Zygmunt Smalcerz (złoty z Monachium 1972) i Krzysztof Siemion (srebrny z Barcelony 1992) wystąpili w roli widzów, a Arturs Plesnieks (brązowy z Tokio 2021) w roli zawodnika.

WYNIKI

1. Rewaz Dawitadze (Gruzja, waga ciała 96,6 kg) 373 kg (173+200) - 434,1 pkt; 2. Zaza Lomtadze (Gruzja, 114,5) 381 (170+211) - 415,4 pkt; 3. Armands Mezinskis (Łotwa, 92,5) 350 (155+195) - 415,3 pkt; 4. Dawid Howanisjan (Armenia, 92,5) 344 (154+190) - 408,2 pkt, 5. Saba Asanidze (Gruzja 92,7 kg) 344 (155+189) - 407,8 pkt; 6. Hakob Mkrtczjan (Armenia, 97,8 kg) 342 (152+190) - 395,6 pkt; 7. Paryk Sawulski (Polska, 93,7) 335 (150+185) - 395,2 pkt; 8. Arturs Plesnieks (Łotwa, 110) 350 (154+196) - 386,9 pkt; 9. Karolis Stonkus (Litwa, 132,1) 364 (154+210) - 381,1 pkt; 10. Jozef Kolar (Czechy 101,9) 330 (151+179) - 375,5 pkt, 11. Karol Samko (Słowacja, 91,6) 315 (135+180) - 375,5 pkt; 12. Neilas Gineikis (Litwa, 101,5) 325 (150+175) - 370,4 pkt; 13. Daniel Goljasz (Polska, 95,4) 315 (140+175) - 368,6 pkt; 14. Wladimir Skapec (Słowacja, 83,8) 277 (127+150) - 345,2 pkt.

Po wakacjach czas na Akropol

W weekend w Grecji zostanie rozegrana 10. runda samochodowych mistrzostw świata. Weźmie w niej udział Kajetan Kajetanowicz.

Po dziewięciu rundach liderem cyklu jest Belg Thierry Neuville (Hyundai I20 Rally1) z dorobkiem 168 punktów. Drugie miejsce zajmuje ośmiokrotny mistrz świata Francuz Sebastien Ogier (Toyota Yaris Rally1) – 141, a trzecie Estończyk Ott Tanak (Hyundai I20 Rally1) – 137. Ogier i obrońca tytułu Fin Kalle Rovanpera nie startują w całym tegorocznym cyklu mistrzostw świata. Biorą udział tylko w wybranych rundach, gdzie ich głównym zadaniem ma być zdobywanie punktów do klasyfikacji konstruktorów.

Dobre wspomnienia Polaka

W Rajdzie Akropolu wystartuje Kajetan Kajetanowicz (Skoda Fabia RS Rally2), który walczy o zwycięstwo w kategorii WRC2 Challenger (teamy prywatne). Kierowca z Ustronia ma dobre wspomnienia związane z rundą w Grecji. Wygrywał tam bowiem w swojej kategorii trzykrotnie – dwa razy w mistrzostwach Europy, raz w WRC3. Dla Polaka będzie to czwarty z siedmiu planowanych startów w tym sezonie w WRC2 Challenger. Kajetanowicz z pilotem Maciejem Szczepaniakiem wygrali w tym roku Rajd Safari i finiszowali tuż za podium na Sardynii. W czerwcu w Rajdzie Polski walczyli o zwycięstwo, ale mieli pecha – na jedenastym odcinku specjalnym uderzyli w kamień, uszkodzili zawieszenie i musieli się wycofać.

Trzeba uważać na kamienie

Rajd Akropolu to runda szutrowa mistrzostw świata, ale znacznie się różniąca od rozgrywanych na takiej samej nawierzchni w Polsce, Estonii czy na Łotwie. Odcinki w Grecji są wolniejsze, a spod luźnej warstwy nawierzchni szybko wychodzą spore kamienie, o które można uszkodzić zawieszenie czy ogumienie.

– Wracamy do rywalizacji po dwóch miesiącach, przed nami szutrowy Rajd Akropolu, który bardzo lubię. Walczyliśmy tutaj wielokrotnie, stąd wyjeżdżaliśmy jako mistrzowie Europy, wygrywaliśmy tu w mistrzostwach świata. Przywitały nas greckie, wysokie temperatury. W trakcie rajdu na pewno będzie gorąco, już to wiemy, choć pogoda może być nieprzewidywalna. W ubiegłym roku ścigaliśmy się też po błotnistych trasach. Na odcinkach mamy mnóstwo kamieni i głazów, których czasami nie jesteśmy w stanie ominąć i dlatego ten rajd bywa nazywany jedną wielką loterią – podkreśla Polak.

Rajd bogów daje w kość

– Mimo to uwielbiam tu wracać. Zakończyliśmy testy, teraz przed nami aż trzy dni zapoznania z trasą, w trakcie których przejedziemy odcinki rajdu bogów dwukrotnie. Czeka nas mnóstwo kilometrów po bardzo górzystych terenach, więc zmęczeni pewnie będziemy już przed rajdem. Do tego dojdzie niewiele snu z uwagi na długie dojazdówki – powiedział Kajetanowicz, rajdowy mistrz świata WRC2 Challenger.

W klasyfikacji WRC2 Challenger aktualnie prowadzi Fin Sami Pajari (Toyota GR Yaris Rally2), który w czterech startach trzy razy wygrał i raz był drugi. Pajari już zgromadził 93 punktów. Kajetanowicz jest sklasyfikowany na 11. pozycji z dorobkiem 37 punktów, w tym 25 za triumf na Safari.

Tegoroczna edycja Rajdu Akropolu liczy łącznie ponad 305 kilometrów podzielonych na piętnaście odcinków specjalnych. Zawody rozpocznie piątkowa poranna próba Ano Pavliani (22,47 km, start o godzinie 6.58 czasu polskiego), a zakończy w niedzielne południe oes Eleftherohori 2 (18,29 km, godz. 12.15).

KLASYFIKACJA GENERALNA MŚ (PO 9 Z 13 RUND):

1. Thierry Neuville (Belgia/Hyundai) 168 punktów
2. Sebastien Ogier (Francja/Toyota) 141
3. Ott Tanak (Estonia/Hyundai) 137
4. Elfyn Evans (W. Brytania/Toyota) 132
5. Adrien Fourmaux (Francja-/M-Sport Ford) 119
6. Kalle Rovanpera (Finlandia/Toyota) 86

Sport 72671dfeae

Lejce na rozpędzoną Jessie

Po pewnej wygranej z kolejną Rosjanką rozstawiona z „jedynką" Polka zmierzy się o półfinał US Open z dobrze sobie znaną Jessicą Pegulą, córką potentata nafty i gazu.

To będzie już dziesiąta potyczka obu tenisistek i trzeci ćwierćfinał Wielkiego Szlema. W 2022 roku Iga Świątek pokonywała Pegulę, gdy zmierzała po tytuły na kortach Rolanda Garrosa i w Nowym Jorku. Polka ma też zdecydowaną przewagę (6-3) we wszystkich pojedynkach, co oczywiście wcale nie znaczy, że teraz też wygra. Świątek ma ogromny szacunek dla tego, jak rozstawiona z „6" Pegula utrudnia jej życie na korcie.

– Z Jessie nigdy nie jest łatwo, ma sporo chytrych zagrań, gra bardzo płaską piłką bez rotacji i trzeba naprawdę pracować nisko na nogach. Spodziewam się długich, intensywnych wymian. Jest teraz rozpędzona, wygrała tak wiele meczów w ostatnich tygodniach, że pokonać ją to z pewnością będzie wyzwanie – podkreśla Iga.

Po raz ostatni mierzyły się zeszłej jesieni w WTA Finals w meksykańskim Cancun, a Świątek oddała rywalce tylko jednego gema. Trzy zwycięstwa Peguli nad Polką miały miejsce na kortach twardych, a każde katapultowało Amerykankę do tytułu – w Waszyngtonie (2019, pierwszy w karierze), United Cup (2023) i w Montrealu (2023).



Iga Świątek liczy się z tym, że w ćwierćfinale rywalka zmusi ją do dużego wysiłku.

Fot. EPA/JOHN G. MABANGLO/PAP

Świetne lato córki miliardera

30-letnia tenisistka z Buffalo – córka króla nafty i gazu Terry'ego Peguli, właściciela m.in. klubów NFL (Buffalo Bills) i NHL (Buffalo Sabres) – po raz kolejny przekonuje, jak niebezpieczna jest na kortach twardych, szczególnie północnoamerykańskich. Wygrała już tu 13 z 14 meczów, wliczając tytuł w Toronto, finał w Cincinnati (uległa dopiero Arynie Sabalence) i cztery potyczki w Nowym Jorku bez straty seta (podobnie jak Iga). Ale ta seria ma też drugi koniec, zwłaszcza że Amerykanka jeszcze nigdy nie awansowała do półfinału Wielkiego Szlema, odpadała 6 razy w ćwierćfinale.

– Odczuwam większą presję, bo idzie mi naprawdę dobrze, w Nowym Jorku też czuję się świetnie. Wiem, jakie są oczekiwania, ale to mi się nawet podoba, bo mam wielkie wsparcie kibiców. Szczególnie w tym turnieju miło jest być Amerykanką. Mam nadzieję, że nadal będę prezentować dobry tenis i to nie było moje ostatnie zwycięstwo – mówiła Pegula po wygranej z Rosjanką Dianą Sznajder 6:4, 6:2 w 1/8 finału.

Rośnie z meczu na mecz

Świątek ma jednak wszelkie narzędzia, by na rozpędzoną Pegulę nałożyć lejce. Iga sprawia wrażenie, jakby na kortach Flushing Meadows rosła z każdym meczem, a męczący sezon i olimpijski „brązowy" niedosyt były już daleko za nią.

W poniedziałek przeciwko rozstawionej z „16" Ludmile Samsonowej była niezwykle skoncentrowana. Pilnowała pierwszego serwisu (wygrała przy nim 88 procent punktów), nie dała rywalce żadnej szansy na break pointa, a gdy nadarzyła się okazja, przy stanie 5:4, przeszła do ataku przy podaniu Rosjanki, co pozwoliło jej zamknąć pierwszego seta. Samsonowa już się nie podniosła i druga partia była bez historii – dwa przełamania, 5:0 i dopiero wtedy Rosjanka zdobyła jedynego gema.

– Na początku turnieju trudno mi było złapać rytm, bo mało trenowaliśmy, bardziej skupiliśmy się na regeneracji. Ale z meczu na mecz jest coraz lepiej – przyznała Świątek, która w tym roku wygrała już 57. mecz i jeszcze w Nowym Jorku może dobić do „60". Wystarczy, że wygra sobotni finał.

Tomasz Mucha

IGA POZYTYWNA NICZYM TED LASSO

■ Na trybunach Artur Ashe Stadium podczas meczu z Samsonową Iga wypatrzyła Jasona Sudeikisa, aktora w popularnym serialu „Ted Lasso" (na Apple TV). Sudeikis odtwarza trenera futbolu amerykańskiego, który przenosi się do Anglii, by objąć pieczę nad zespołem piłki nożnej. – Staram się zwykle nie patrzeć na ekrany na korcie, ale widziałam go, kiedy patrzyłam na sędziego głównego. Chciałam pozostać skupiona i mam nadzieję, że doceni moją mentalność, ponieważ właśnie o to chodzi Tedowi Lasso – zaśmiała się Polka.
Świątek – wielka fanka serialu – opowiedziała też, czy korzysta z porad trenerskich Lasso. – To przede wszystkim pozytywne nastawienie, choć futbol to zupełnie inny sport, ponieważ tam chodzi o ducha zespołowego. Trochę, jak w moim teamie, ale na korcie zostajemy już sami.

100.

MECZ w Wielkim Szlemie rozegrała Iga Świątek. Pokonując Ludmiłę Samsonową, poprawiła swój bilans zwycięstw-porażek w turniejach wielkoszlemowych na 83-17; składają się na to Australian Open 17-6, Roland Garros 35-2, Wimbledon 11-5 i US Open 20-4. Spośród tenisistek, które rozpoczęły karierę w Erze Open (od 1968 roku), tylko 6 wygrało więcej razy w pierwszych 100 meczach: Monica Seles (93), Chris Evert (90), Steffi Graf (87), Martina Hingis i Serena Williams (86) oraz Venus Williams (85).

Byłem wściekły



Rozmowa z **Janem Zielińskim**

Tenisiście z Warszawy nie udało się dotrzeć do czterech w roku wielkoszlemowych półfinałów w mikście. W Nowym Jorku razem z Tajwanką Su-Wei Hsieh w ćwierćfinale ulegli Włochom Sarze Errani i Andrei Vavassoriemu 3:6, 4:6.

Jakby pan ocenił występ w tegorocznym US Open?

– Zagraliśmy poniżej oczekiwań i w deblu z Hugo Nysem, i w mikście, dlatego nie jestem do końca zadowolony. Dla mnie to mało, ale jednocześnie to kolejne lekcje.

W której specjalności bardziej pan upatrywał swoich szans?

– Pozostaje niedosyt, jeśli chodzi o grę deblową (Polak i Monakijczyk odpadli w 2. rundzie – przyp. red.), ale walczymy dalej. To dla mnie kolejne nauczki i wnioski w tym roku. Jestem jeszcze młodym tenisistą. Większość zawodników, z którymi spotykam się w tourze, jest tu po 10-15 lat. Mam jeszcze długą drogę i nadzieję, że najlepsze przede mną.

W mikście byliście rozstawieni z „7", dlaczego zatem ćwierćfinał i porażkę z parą numer 3 uważa pan za rozczarowanie?

– Rozstawienie nie gra roli. Po naszych wynikach w tym roku – wygraniu Australian Open i Wimbledonu oraz półfinale French Open – w każdym z meczów w Nowym Jorku byliśmy w roli faworytów. Niedosyt jest duży.

Dał pan upust swoim emocjom. Dlaczego pod koniec starcia z włoskimi rywalami rakieta poleciała na kort?

– Byłem wściekły, że przegrywaliśmy.

Czy denerwował pana głośny doping włoskich kibiców?

– Atmosfera w trakcie gry z parą z Meksyku w poprzedniej rundzie była jeszcze bardziej gorąca. Jestem przyzwyczajony do takiej atmosfery i lubię grać w takich warunkach. To, że zagraliśmy tak, a nie inaczej, to zasługa dobrego taktycznie meczu naszych rywali. No i naszej nie do końca najlepszej dyspozycji.

Wszyscy wokół wydają się narzekać na „gęsty" kalendarz. Jak pan się czuje po pięciu meczach w Nowym Jorku?

– Posłuszeństwa odmawiają mięśnie w niektórych partiach ciała. Nakładają się kontuzje, które nie pozwalają mi do końca grać na najwyższym poziomie. Dotyczy to przede wszystkim serwowania. Odbiło się to, niestety, na wyniku.

Jak to rozwiązać? Jak ulżyć przemęczonym gwiazdom?

– Dopóki nie będzie zmian w kalendarzu, nigdy nie będzie ulgi. Wszyscy zmagają się z tymi samymi problemami. Aby być w wysokiej formie, trzeba dbać o ciało, o regenerację, dobre przygotowanie. I mieć czas, aby poprawiać małe rzeczy. A jak tego czasu brakuje, odbija się to na wynikach.

Jak się zmieniło pana życie po dwóch tegorocznych wielkoszlemowych triumfach?

– Spełniają się moje małe marzenia, ale celuję wyżej, czyli w podobne osiągnięcia w deblu. Jestem jednym z zaledwie kilku Polaków, którzy wygrali w Wielkim Szlemie oraz jednym z niewielu, którzy wygrali Wimbledon. Moja popularność wzrosła. Odbieram to pozytywnie, bo pojawia się jeszcze większe zainteresowanie wokół mnie i wokół dyscypliny, co jest bardzo potrzebne.

Gdyby ten świetny dla pana, może przełomowy rok, miał pan podsumować już teraz, to...?

– Z jednej strony, że to mało, bo mam większe oczekiwania, nadzieje, potrzeby... Ale z drugiej gdyby ktoś mi powiedział, że wygram dwa Szlemy i nie powiedział jakie, to wziąłbym to w ciemno.

Jakie najbliższe plany?

– Wracam do Polski przygotowywać się do meczu Pucharu Davisa z Koreą Płd. w Zielonej Górze (13-14 września - przyp. red.). Mamy zamiar go wygrać i wrócić na szczebel, który nam się należy (stawką jest miejsce w kwalifikacjach do finałowego turnieju o Puchar Davisa – przyp. red.).

Rozmawiał w Nowym Jorku Tomasz Moczerniuk (PAP)

WYNIKI

■ **Kobiety. 1/8 finału: ŚWIĄTEK (Polska, 1)** - Samsonowa (Rosja, 16) 6:4, 6:1, Haddad Maia (Brazylia, 22) – Woźniacka (Dania) 6:2, 3:6, 6:3; ćwierćfinały: Badosa (Hiszpania, 26) – Navarro (USA, 13), Zheng (Chiny, 7) – Sabalenka (Białoruś, 2), ŚWIĄTEK – Pegula (USA, 6), Haddad Maia – Muchova (Czechy).

■ **Mężczyźni. 1/8 finału:** Draper (W. Brytania, 25) - Machac (Czechy) 6:3, 6:1, 6:2, Miedwiediew (Rosja, 5) - Borges (Portugalia) 6:0, 6:1, 6:3, Sinner (Włochy, 1) - Paul (USA, 14) 7:6 (7-3), 7:6 (7-5), 6:1, de Minaur (Australia, 10) - Thompson (Australia) 6:0, 3:6, 6:3, 7:5; ćwierćfinały: Fritz (USA, 12) – Zverev (Niemcy, 4), Dimitrow (Bułgaria, 9) – Tiafoe (USA, 20), Sinner – Miedwiediew, Draper - de Minaur.

Sport 72671dfeae

Australijczyk jeszcze się obronił

Górski etap znowu dla Hiszpana – tym razem wygrał Marc Soler. Powody do radości na Lagos de Covadonga miał także Ben O'Connor, który utrzymał czerwoną koszulkę lidera.

VUELTA A ESPANA

Po drugim dniu odpoczynku kolarze rozpoczęli trzeci, ostatni tydzień ścigania od niezwykle trudnego odcinka. Etap numer 16 rozpoczynał się w porcie Luanco nad Atlantykiem i prowadził po mocno pofałdowanej trasie w Asturii. Pod dwóch wspinaczkach na premie górskie pierwszej kategorii na koniec czekał podjazd poza kategorią do Jezior Covadonga (12,5 km o średnim nachyleniu 6,9 proc, maksymalnie nawet 16). Było więc co jechać!

Belgijski mistrz przeszarżował

Odjazd dnia uformował się w miarę szybko, a że żaden z kilkunastu uciekinierów nie miał straty do lidera mniejszej niż... godzina, to peleton jakoś specjalnie nie gonił śmiałków. Ci jeszcze przed półmetkiem mieli ponad 10 minut przewagi nad dużą grupą i wiele wskazywało na to, że w gronie uciekających znajduje się zwycięzca. Z przodu szalał Wout van Aert (Visma). Belg, który z ogromną przewagą prowadził w klasyfikacji punktowej, wygrał dwie pierwsze premie górskie i umocnił się na pierwszym miejscu także w tym rankingu. Na zjeździe z tej drugiej najwyraźniej jednak przeszarżował, bo przewrócił się i na tyle mocno potłukł, że nie był w stanie kontynuować jazdy. Półprzytomny z rozbitym, krwawiącym kolanem trafił do auta technicznego swojej drużyny.

Po tym, jak van Aert wycofał się z wyścigu, liderem klasyfikacji górskiej został Australijczyk Jay Vine (UAE Team Emirates), a punktowej jego rodak Kaden Groves (Alpecin-Deceuninck).

Etap dla UAE Team Emirates

U stóp ostatniej góry uciekający mieli około 6 minut przewagi nad peletonem i stało się jasne, że jeden z nich dotrze do mety jako pierwszy. W odjeździe wciąż było aż trzech kolarzy w koszulkach UAE Team Emirates. Po tym, jak z wyścigu z powodu koronawirusa musiał się wycofać ich lider, Portugalczyk Joao Almeida, a ani Brytyjczyk Adam Yates, ani Rosjanin Paweł Siwakow nie byli w stanie powalczyć o miejsce na podium w Madrycie, tej grupie pozostała więc tylko walka o etapowe zwycięstwa. We wtorek koledzy Tadeja Pogaczara i Rafała Majka wykorzystali przewagę liczebną. Na podjeździe Marc Soler najpierw dołączył do prowadzących Maxa Poole'a (Team dsm-firmenich PostNL) i Filippo Zany (Jayco AlUla), a potem skutecznie zaatakował. Ostatnie 4,5 kilometra pokonał sam i na tonącej we mgle mecie cieszył z trzeciej wygranej we Vuelcie. Drugie miejsce zajął Włoch, a trzeci przyjechał Brytyjczyk.

– Podczas tego wyścigu wiele razy atakowałem, ale dopiero teraz udało mi się to wykończyć. To była bardzo mocno ucieczka. Poole podążał za mną, tempo było wysokie, ale wykorzystałem swoją szansę – cieszył się Hiszpan. – To coś wyjątkowego, bo nie wygrałem zbyt wiele w tym zespole – dodał Soler, który trzeci rok jeździ w UAE Team Emirates. Poprzednie zwycięstwo, jedyne do tej pory w tej grupie, odniósł w 2022 roku na... Vuelcie.



Fot. EPA/JAVIER LIZON/PAP

Marc Soler w drodze na szczyt.

Liderowi zostało 5 sekund

Daleko za nimi toczył się drugi wyścig. Wielką ochotę na to, żeby nadrobić nad rywalami i przesunąć się w górę klasyfikacji generalnej, miał piąty dotąd Mikel Landa (T-Rex-Quick-Step). Bask ruszył do przodu jako pierwszy, jakiś czas potem w jego ślady poszedł Enric Mas (Movistar). Na kole Hiszpana utrzymali się tylko Słoweniec Primoz Roglicz (Red Bull-Bora-hansgrohe) i Ekwadorczyk Richard Carapaz (EF Education-EasyPost). Wtedy też zaczęły się kłopoty Bena O'Connora (Decathlon AG2R La Mondiale Team). Od tego momentu, a do szczytu było dość daleko, australijski lider wyścigu jechał już w zasadzie sam. Kiedy Mas, Carapaz i Roglicz, którzy wcześniej przegonili Landę, osiągnęli metę, zaczęło się odliczanie. Kreskę mijali kolejni kolarze, a O'Connora wciąż nie było. I kiedy wreszcie wyłonił się z mgły, okazało się, że zdążył. Teraz ma jednak w „generalce" tylko pięć sekund przewagi nad Rogliczem, 1.25 nad Masem, 1.46 nad Carapazem i 2.18 nad Landa. Tym razem mu się więc udało, ale konkurentów przybyło i walka wciąż trwa!

Do końca zostało 5 etapów. W środę coś dla sprinterów, których niewielu zostało w peletonie, więc Australijczyk z pewnością utrzyma czerwoną koszulkę. Trudniej może być w czwartek, kiedy pofałdowany odcinek zakończy się w Kraju Basków. Prawdziwy test O'Connor będzie miał dopiero w piątek, kiedy etap zakończy się wspinaczką na Alto de Moncalvillo. Następnego dnia powtórka z rozrywki, czyli finałowa ścianka Picon Blanco. A na sam koniec w niedzielę licząca 25 km jazda indywidualna na czas w Madrycie. Wydaje się, że kolarz grupy Decathlon AG2R La Mondiale nie może tego wygrać. Więcej – jego wielkim sukcesem będzie, jeśli w ogóle stanie na podium. To jednak sport i wszystko może się zdarzyć!

Nasza dwójka jedzie dalej

W hiszpańskiej imprezie wciąż uczestniczy dwóch polskich kolarzy, którzy skupiają się na pomocy swoim liderom. Wczoraj do zwycięzcy stracili mniej więcej pół godziny – Łukasz Owsian (Arkea) był 81., a Kamil Gradek (Bahrain-Victorious) 125. W klasyfikacji generalnej obaj zajmują równie odlegle miejsca. Owsian jest 90. (strata 2:46.20), Gradek 142. (3:59.38) i wyprzedza tylko, ale za to o ponad kwadrans, Holendra Tima Nabermana (Team dsm-firmenich PostNL).

Grzegorz Kaczmarzyk

Bez Hurkacza w Pucharze Davisa

Najwyżej notowany w rankingu ATP Polak nie zagra przeciwko Korei Południowej.

TENIS

W składzie reprezentacji Polski znaleźli się za to Kamil Majchrzak, Maks Kaśnikowski, Jan Zieliński, Karol Drzewiecki i Martyn Pawelski. Mecz Grupy Światowej I rozgrywek o Puchar Davisa odbędzie się 13-14 września w Zielonej Górze.

Polski Związek Tenisowy już wcześniej ogłosił, że w kadrze na to spotkanie zabraknie najwyżej notowanego z biało-czerwonych, siódmego w światowym rankingu Huberta Hurkacza. 27-letni wrocławianin doznał kontuzji na początku lipca podczas wielkoszlemowego turnieju na kortach Wimbledonu. Leczenie i rehabilitacja uniemożliwiły mu start na igrzyskach w Paryżu.

W meczu Pucharu Davisa nie weźmie udziału w trosce o swoje zdrowie. Wobec nieobecności Hurkacza, liderami polskiej drużyny będą Majchrzak, aktualnie 167. w zestawieniu ATP, a także Kaśnikowski, 194. w światowym rankingu, który tydzień temu zadebiutował w turnieju wielkoszlemowym, awansując w US Open do głównej drabinki z kwalifikacji. Na kort w Zielonej Górze wyjdzie też zgrany już duet złożony z dwukrotnego tegorocznego mistrza wielkoszlemowego w mikście (Australian Open i Wimbledon) i 25. w deblowym rankingu Zielińskiego oraz Drzewieckiego, obecnie 128. na świecie. Skład biało-czerwonej reprezentacji uzupełni 659. w klasyfikacji ATP Pawelski, który w lipcu po raz pierwszy w karierze został mistrzem Polski.

Liderem drużyny Korei Południowej będzie Seongchan Hong, obecnie 152. tenisista w ranking ATP. Oprócz niego Polacy zmierzą się w połowie września także z Soonwoo Kwonem (340. ATP w singlu), Jisungiem Namem (132. ATP w deblu), Yunem Seongiem Chungiem (209. ATP w deblu) I Minkyu Song (422. ATP w deblu).

Zaplanowany na 13-14 września mecz odbędzie się na twardym korcie w hali Centrum Rekreacyjno-Sportowego w Zielonej Górze. Losowanie par odbyło się już w lutym, a polskiej stronie przypadł wybór lokalizacji i nawierzchni. Stawką dwudniowego meczu z Koreą Południową będzie miejsce w przyszłorocznych kwalifikacjach do finałowego turnieju o Puchar Davisa. Biało-czerwoni wywalczyli awans do Grupy Światowej I w lutym, pokonując na wyjeździe Uzbekistan 4:0.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 4 WRZEŚNIA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

TVP SPORT
16.55 Tenis stołowy: Lotto Superliga, Polski Cukier Gwiazda Bydgoszcz - Dartom Bogoria Grodzisk (na żywo), 20.10 Pn: zapowiedź 1. i 2. kolejki Ligi Narodów, 22.00 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
8.50 Igrzyska paralimpijskie (na żywo)

POLSAT SPORT 2
10.00 Igrzyska paralimpijskie, 20.30 Piłka ręczna: Orlen Superliga mężczyzn, Orlen Wisła Płock - KGHM Chrobry Głogów (na żywo)

POLSAT SPORT 3
9.25 Igrzyska paralimpijskie (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
9.50 Igrzyska paralimpijskie (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
12.00 Igrzyska paralimpijskie (na żywo)

EUROSPORT 1
14.30 Kolarstwo: Vuelta a Espana, 17. etap: Arnuero - Santander, 18.00 Tenis: ćwierćfinały US Open (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
18.55 Żużel: półfinał ligi duńskiej (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-013 Katowice, ul. Uniwersytecka 13
Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sport 72671dfeae

Turniej jak marzenie

Ach, co to była za impreza! Świetna organizacja, tabuny kibiców, rywalizacja na wysokim poziomie, wizyta Adriana Meronka i zwycięstwo z polskimi akcentami. Działo się!


Fot. Marek Darnikowski / Rosa Challenge Tour

Angel Ayora z trofeum.

To był zdecydowanie udany powrót Challenge Tour do Polski. Upłynęło dużo wody w Wiśle, zanim mogliśmy po raz kolejny cieszyć się z rozgrywek takiej rangi. Warto było jednak zaczekać te piętnaście lat. Tym razem wartka akcja toczyła się w Rosa Golf Club, w Konopiskach pod Częstochową.

W ogniu rywalizacji

Z pięknym wynikiem - 13 triumfował 19-letni Hiszpan Angel Ayora, który ostatniego dnia w sobie tylko znany sposób utrzymał nerwy na wodzy i zdołał nawet powiększyć dwupunktową przewagę, jaką miał po trzech dniach rywalizacji, zdobywając swoje pierwsze zawodowe trofeum w karierze. O ile pierwsze dziesięć dołków poszło całkiem gładko i zakończyło się rezultatem - 4, na drugiej dziewiątce zrobiło się nieco nerwowo. Angel stracił uderzenia na jedenastce i czternastce, jednak trwonili punkty również rywale. Ostatecznie, wkraczając na osiemnasty green, był już pewien zwycięstwa i nawet bogey na ostatnim dołku nie był w stanie tego zmienić: - Po prostu mówiłem sobie na osiemnastce, żeby oddać dobry strzał z tee, następnie zagrać dobre drugie uderzenie i spróbować ukończyć to w jak najmniejszej liczbie strzałów – opowiadał.

Rundy 66-65-66-70 zapewniły mu trzypunktowy triumf nad reprezentantem Irlandii Północnej Demotem McElroyem, który awansował tego dnia o trzy pozycje w klasyfikacji. Kolejne uderzenie dalej znaleźli się okupujący trzecie miejsce Szwedzi, 40-letni Jens Fahrbring, dwukrotny triumfator na Challenge Tour, grający razem z Hiszpanem w finałowej grupie, lider po pierwszym dniu i współlider po drugim, oraz trzykrotny zwycięzca w Nordic Golf League Christofer Rahm. Presji nie wytrzymał też trzeci zawodnik z finałowej grupy Włoch Gregorio De Leo, który po sobotnim wyśrubowaniu rekordu pola do imponującej wartości 61, w niedzielę uciułał 73 uderzenia, spadając z drugiego na piąte miejsce, którym w dodatku musiał podzielić się z aż pięcioma konkurentami.

Viva Espana!

Na pewno duży wpływ na efekt końcowy i to mimo topniejącego w niedzielę prowadzenia młodego Hiszpana, miał jego doświadczony trener i jednocześnie caddy – Juan Ochoa. Tutaj pojawiają się polskie wątki. Juan jest dobrze znany polskim golfistom – niegdyś był trenerem w naszym kraju. Wśród jego podopiecznych są między innymi: Matylda Krawczyńska – moment temu zajmująca drugie miejsce w prestiżowym The R&A Girls Amateur Championship, Alejandro Pedryc – wielokrotny mistrz Polski i Mateusz Gradecki – zwycięzca na Challenge Tour i Pro Golf Tour.

Angel nie pochodzi z majętnej rodziny i postawił wszystko na golfa. Juan odkrył w nim ogromny talent i od dwóch lat wspiera go w spełnianiu marzeń. Tak szczęśliwy zwycięzca opisywał dla PZG swoje emocje po wygranej w Polsce: „Piękny czas dla mnie i piękne miejsce. Jestem wdzięczny za wsparcie, jakie dostałem w tym tygodniu i naprawdę szczęśliwy, że moje pierwsze zwycięstwo odnotowałem właśnie tutaj. Mogę się czuć trochę jako Polak, bo dla mojego trenera i caddiego Polska to drugi dom i to naprawdę wspaniałe, że wygrywamy na Rosie".

Cierpliwość popłaca

Radości nie kryła również Matylda, która w trakcie turnieju razem z rodzicami wspierała swoich hiszpańskich przyjaciół, a kiedy wszystko się rozstrzygnęło, wbiegła na green z... szampanem: „To były emocje i bardzo kibicowałam Angelowi, bo znamy się, razem trenujemy pod skrzydłami Juana. Wiedziałam, jaki ma potencjał i to zwycięstwo mu się naprawdę należało, To bardzo duży talent o wielkiej etyce pracy, czego się też od niego uczę. Postawił w życiu wszystko na golfa i widać, że było warto".

Angel był jednym z trzynastoosobowej grupy Hiszpanów, którzy przyjechali do Rosy. Wśród nich największą gwiazdą był siedmiokrotny triumfator na DP World Tour – Alvaro Quiros. Dopiero rozpoczynający karierę zawodnik tak w sobotę opisywał wsparcie swoich rodaków: „Bardzo dobrze jest mieć tutaj kilku doświadczonych hiszpańskich graczy. Dorastałem, obserwując grę Alvaro, więc wspaniale jest mieć przy sobie takiego przyjaciela jak on. Prawdopodobnie porozmawiam z nim później przy kolacji na temat jutrzejszej rundy. Postaram się utrzymać moją grę, oddawać dobre strzały i wykazywać się cierpliwością, więc zobaczymy, co się stanie". Alvaro, który próbuje powrócić do wielkiego golfa, zakończył turniej na miejscu 42, ostatniego dnia awansując rundą 68 o dwanaście miejsc w klasyfikacji.


Fot. Marek Darnikowski / Rosa Challenge Tour

Adrian Meronk i trener zwycięzcy, Juan Ochoa.

Polacy

W turnieju zagrało w sumie czternastu Polaków, pięciu zawodowców i dziewięciu amatorów, z czego dwóch dowiedziało się o takiej możliwości w naprawdę ostatniej chwili, ponieważ w ostatniej chwili zwolniły się dla nich miejsca. Najlepszy wynik uzyskał Mateusz Gradecki, któremu do awansu do rundy sobotniej i niedzielnej zabrakło dwóch uderzeń. Mateusz wraca właśnie do gry po operacji kolana, którą przeszedł trzy miesiące temu. Tydzień przed turniejem na Rosie zagrał świetnie w Szwecji, gdzie po długiej przerwie od turniejowych występów finiszował na solidnej 24. pozycji. Nadzieje były więc spore, jednak ostatecznie cała piętnastka zakończyła batalię po dwóch dniach.

Meronk wrócił na Challenge Tour

W niedzielę na turnieju pojawił się Adrian Meronk, który po raz pierwszy jako zawodowiec mógł oglądać turniej Challenge Tour w Polsce. Wcześniej grał jako amator w turnieju Challenge Tour we Wrocławiu, kiedy zorganizowany został na jego polu – wówczas w Toya Golf Club, teraz przemianowanym na Wrocław Golf Club. Jednokrotny zwycięzca na Challenge Tour i czterokrotny na DP World Tour kibicował grupie finałowej, udzielił mnóstwa wywiadów, rozdawał autografy, rozmawiał i fotografował się z kibicami: „Turniej przypomina bardziej DP World Tour niż Challenge Tour, ale niczego mniej po Rosie się nie spodziewałem. Jestem przekonany, że to teraz najlepszy event w kalendarzu CT. Takie elementy, jak players lounge, strefa do treningu, do masażu to wszystko jest na topowym poziomie, a to właśnie takie aspekty decydują o komforcie graczy". Polak występujący obecnie w LIV Golf zdradził też jakie są jego plany po zakończeniu sezonu LIV. Zagra on trzy razy na DP World Tour: w Andaluzji będzie bronił tytułu sprzed roku, w Abu Dhabi HSBC Championship i DP World Tour Championship. Wystąpi również w grudniu na Asian Tour, w turnieju Saudi International.

Z pasji do golfa

Turniej zorganizowany był wręcz perfekcyjnie. Wspierała go armia ponad sześćdziesięciu wolontariuszy. Pole przygotowane było fantastycznie i wiele wskazuje na to, że turniej powróci do Rosa Golf Club na kolejne dwie edycje. W poniedziałek odbył się juniorski Pro-Am, gdzie wygrała drużyna w składzie: Haraldur Magnus, Kamil Nowak, Iwo Czerkawski i Wojtek Grzegorzek. W środę rozegrano klasyczny Pro-Am, w którym triumfowała drużyna Alejandro Pedryca, który trafił zatrważające osiem birdie i eagle'a. Druga była ekipa Joela Moscatela, a trzecia Mateusza Gradeckiego, którego wspomagał chociażby trener piłkarskiej kadry narodowej – Michał Probierz. Impreza nie odbyłaby się bez zaangażowania organizacyjnego V5 Group, Studio Gwiaździsta 5, wsparcia PGA Polska i Polskiego Związku Golfa, a przede wszystkim pasji właściciela pola: „Wszystkim bardzo serdecznie dziękuję: mojemu zespołowi za ciężką pracę, jaką włożyli w przygotowanie pola, uczestnikom za sportową walkę, kibicom za przybycie, władzom samorządowym, które się przyłączyły do organizacji tego turnieju, za wsparcie. Wszystkiego dobrego i mam nadzieję, że widzimy się za rok", powiedział na ceremonii rozdania nagród Arkadiusz Muś.

Dziennik „Sport" relacjonował codziennie wydarzenia z Rosy. Były zarówno relacje pisemne, jak i wywiady przeprowadzane z błyskiem w oku przez Glorię.

Kasia Nieciak

LINK DO WYNIKÓW:
https://www.europeantour.com/challenge-tour/rosa-challenge-tour-2024/leaderboard